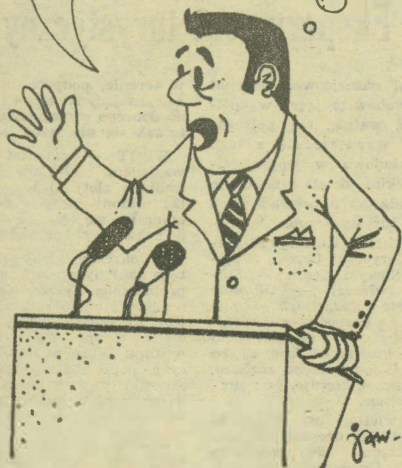




Otton Jaworski

Kameleon

WIERZCIE MI,
NIC NIE JEST TAK
WAŻNE DLA MNIE
JAK ODNOWA!
LUDZIE! JESTEM
ZA ODNOWĄ!
MAM TO W SERCU.
NIE MA DLA NAS
SPRAWY WAZNIEJSZEJ.
ODNOWA TO JEST TO!



Zajmijmy się dzisiaj owym dokuczliwym gadułą z zamieszczanego obok rysunku. Wpierw jednak trochę encyklopedycznych wiadomości z zoologii.

Kameleony to rodzina z podrzędu jaszczurek. Ubarwienie łatwo zmieniające się, palce zrosnięte po dwa a nawet trzy, przeciwstawne, tworzą kleszczowaty uchwyt, ogon również chwytowy, oczy poruszające się niezależnie od siebie, język dwukrotnie dłuższy od ciała. Uczeń twierdzi, że kameleony żyją w Afryce, na Półwyspach Arabskich i Indyjskich, na Cejlonie i w Hiszpanii. U nas odczo wdrapują się na mównice i wyczyniają kuglarzkie sztuczki: gatunek zanikający, aktywny w chwilach zwrotnych, obecnie nie znajduje się pod ochroną.

Nasz rysownik jest amatorem łowów na te śmieczne i zarazem odrażające żyjątka. Okaz właśnie upolowany zasługuje na chwilę uwagi. Otóż jest to nasz stary znajomy, rutynowany posiedzieli, aktor umiający z marszu wejść w nową rolę. Wie zawsze, skąd wlatr więcej. Potrafi w porę wskoczyć do właściwego pociągu. Zna najwięcej instrukcję. Posiada zdolność posługiwania się aktualnymi słowanymi-wytrychami. Z łatwością podwiąże się do każdej obowiązującej mody. Jego garnitur i poglądy skrojone u wziętego krawca.

Czy to wystarczy, żeby wyjąć go spod ochrony? Nie wystarczy. Wieczna gotowość do gorliwego nadążania, niedłonie słów, wodolejstwo, talent w dostosowywaniu się do okoliczności, szybki refleks — nie są to grechy najcięższe.

Czemuż więc dobrał się mu do sko-

ry Ottek Jaworski? Ano, spojrzmy jeszcze raz na rysunek. Ten okaz ma brzydką przywarę: co innego myśli, a co innego mówi. Słowa służą mu za alibi. Z belkotu o odnowie zrobił sobie wygodny strój, słuchaczy traktuje jak idiotów. Liczy, że nie zauważymy skrycie wykonanego „gestu Kozakiewiczza”. Zauważyliśmy. Za chwilę odbierzemy mu głos. Przepędzimy preś od mikrofonu. Zwłaszcza od mikrofonu! Nie jest to właściwe miejsce dla dwulicowych kuglarzy.

Zegnając tego gadułę zdołaliśmy się jednak na autorefleksję: czy my sami potrafimy wyzbyć się frezeologii, którą nas zaraził? Czy umiemy wygłosić kilka zdań o sytuacji w kraju bez szarpania deklinacją słowa „odnowa”?

Majakowski, zaprawiony w bojach z pustostawami poety i wielki praktyk propagandy przestrzegaj, że słowo, nawet co piękniejsze słowo sciera się w nżyciu jak ubiór, co spardal.

Nadużywana, nadaremno powtarzana, klepana hermetycznie „odnowa” — już w tej chwili obrabiana jest nieomysłownie. Młyny mleją to słowo każdego dnia. Sciera się ono nie tylko na sprawę kameleonów. Przyłożyliśmy do tego ręki wszyscy po trochu.

Nie to wszakże jest naszym największym smutkiem. Stokroć ważniejszą będzie dalszy los tego procesu moralnego odradzania się socjalizmu, który potocznie nazywane odnową. Przed świętami z inicjatywą działaczy sądeckiej „Kuchni” zorganizowane dyskusje o hamulcach blokujących odnowę w Nowosądeckim, a także o jej dotychczasowych uwarunkowaniach i szwancach. Obszerna relacja — na tydzień.

ANTONI KRUGH

REBUCHNA

Przy stole zasiadam, papiery rozkładam, herbatkę popijam i z prawdą się mijam, za maszynę chwytam i z Wami się witam. Opowiem dzisiaj taką sobie, niewinną historyjkę o rządzących i rządzonych w naszym mieście. Zdaje się, że władza wypadnie w tej opowieści pod pewnym względem niezbyt dostojnie, a może nawet, gdy spojrzysz się na zagadnienie z subiektywnego punktu widzenia, zostanie niejako obśmiana. Lecz proszę Was, ludzie, zrozumcie — nie pragnę wytykać działaczom ich słabostek, które ani mnie ziębia, ani grzeją, a tylko małowniczność miasteczku przydają; są dla nas tym, czym dla naszych dziadków były pióropusze kirasjerów, tytuły hrabiowskie, szpady urzędników, chłopskie kierzaje i marsz Radetzkiego — tararam, tararam, tararam, pam pam, tararam pam pam, tararam pam pam... Powtarzam raz jeszcze z głębokim zaangażowaniem: nie mam najmniejszego zamiaru wyśmiewać chorób zawodowych naszych działaczy. To byłoby zbyt łatwe, a do tego małoistotne. Chodzi mi o coś ważniejszego, o postawę rządzących miasteczkiem. Tak, kocha-

ni. To o was, poczytajcie sobie. Takich mieliście prominentów, na jakich zastużyliście, jakich wychowaliście sobie w niemalym trudzie, przez wiele, wiele lat. To właśnie chciałem powiedzieć.

Pewnego razu, a było to kilka lat temu, zwołano w trybie pilnym naradę przedstawicieli pionu kultury. Zeszli się więc ludziska, same znajome geby. Rozsiadli się, odruchowo nie zajmując miejsc w pierwszym rzędzie, swobodnie poży przybrali; plotkują, czytają gazety albo palą papierosa.

Lecz cały pion zamienił się w słuch, gdy do sali weszła Towarzyszka. Omiotła nas skupionym, uważnym spojrzeniem, obciągnęła dyskretnie spódnice i chrząknęła celem zabrania głosu.

Jej wystąpienie było zwarte, klarowne i w subtelny sposób paramilitarne. Poinformowała nas, że odpowiednie czynniki skonstatowały, iż zbliża się Rocznic — a więc cały front kultury, wszystkie jej placówki, oddziały, ośrodki i posterunki winny podjąć ofensywę, aby osłonić wyznaczone cele. Rocznicą stanowi również dogodny moment, aby udzielić odprawy elementom wrogim, manifestując

jedność wartości i godną postawę. Ten robi to, tamten tamto, ów owo. Czy są jakieś pytania?

Kółko fotograficzne, reprezentowane przez Tereskę, miało pytanie. A może nie tyle pytanie, ile wątpliwość. A może nawet nie tyle wątpliwość, ile nieśmiały sugestia: że ewentualnie byłoby lepiej dla sprawy, gdyby wystawa fotograficzna „Nasze miasto wczoraj i dziś” nie była robiona na chybika, w ciągu niecałych trzech tygodni. Zebranie materiałów, ich selekcja, reprodukcowanie starych zdjęć i sfotografowanie tych samych miejsc dzisiaj, najlepiej przy dobrej pogodzie, wymaga jednak pewnego czasu — dowodziła Tereska. Kółko fotograficzne z przyjemnością i satysfakcją roboty się podjęło, ale proponuje, by wystawę otworzyć jesienią. Jak widać, Tereska okazała się dziewczyną średnio rozgarniętą — nie rozumiała bowiem podstawowej sprawy, że w propagandzie najważniejsze jest KIEDY, a dopiero potem CO i JAK. Słusznie więc Towarzyszka napomniwała Tereskę, zresztą w brzdąco łagodnej formie, że termin wystawy nie może być przedmiotem dyskusji, bo już został podany; rozmawiać można natomiast w temacie lokal, koszty, materiały itd. Tereska raz jeszcze wyszła na idiotkę, twierdząc, że z lokalem nie ma sprawy, ponieważ w mieście istnieje galeria fotografii, zaś problemem jest papier fotograficzny i chemikalia, bo po pierwsze nie ma w sklepie, po drugie nie dają rachunków, a po trzecie nie ma forsy; z tego powodu fotografatorzy wciąż się borykają. Towarzyszka wytłumaczyła jak dziecku, że przecież ma to być wystawa polityczna, więc ani pieniądze, ani materiały nie stanowią najmniejszego problemu. Należy jedynie przemysleć kwestię

(CIĄG DALSZY NA STR. 3)

* PANORAMA REGIONU *

Teleks od wojewody

14 lutego bieżącego roku nowosądecka „Solidarność” przekazała komisji rządowej wykaz spraw, które powinny być załatwione przez organa i instytucje szczebla centralnego, po wstępnym rozpoznaniu przez komisję roboczą delegowaną do Nowego Sącza.

Ten wstępny etap rozpatrywania zgłoszonych spraw nie był wolny od kontrowersji dotyczących kwestii proceduralnych, kompetencji i terminów. Niektórzy obserwatorzy rozmów kwestionowali dobrą wolę negocjujących stron, przygotowanie rozmówców i zasadność argumentacji. Urząd Wojewódzki — zainteresowany szybkim wyjaśnieniem podjętych problemów — podzielił opinię, że w interesie społecznym leży bardziej energiczne działanie komisji roboczej i wspierających ją organów kontrolnych. Niepokój budziły zwłaszcza ostre rozbieżności w kwestiach personalnych grożące kilkakrotnie zerwaniem rokowań.

Chociaż nie mamy bezpośredniego wpływu na tempo podejmowania decyzji przez komisję z Warszawy, czyniliśmy wysiłki, by w zakresie swych możliwości wiele spraw zbadać na miejscu i w ten sposób ułatwić trudne zadanie komisji roboczej.

7 kwietnia rozmowy zostały wznowione. Urząd Wojewódzki skierował na nie siedmiu kompetentnych pracowników, by służyli w potrzebie wyjaśnieniami. Również organa kontrolne zdążyły już rozpoznać niektóre sygnałowane wcześniej tematy. Ułatwiło to dyskusję i osiąganie porozumienia w kwestiach dostatecznie udokumentowanych. Właśnie ten etap, który negocjatorzy mają — z sobą, skłania do paru refleksji — ważnych nie tylko dla naszego województwa.

Otóż poważnemu rozszerzeniu uległ dziś front ludzi walczących z nonsensami, nadziejami i niedoświadczeniem. Mimo wielu mankamentów w samej technice rozmawiania, mimo słabości — zawińionej czy niezawiniętej — w prowadzeniu dochodzeń, mimo oporów przy podejmowaniu drastycznych decyzji personalnych — do czego nie byliśmy przyzwyczajeni — jest faktem, że dotychczasowe wysiłki partii i administracji otrzymują twórcze — choć chwilami emocjami zabarwione — wsparcie ze strony nowego ruchu związkowego. Niektóre sprawy powadziłyśmy już wcześniej, niektóre „Solidarność” wyszukała samodzielnie. Nie jest to zresztą ważne, kto więcej zła dostrzeże. Liczy się determinacja w uczeniu dochodzenia do prawdy. Szanujemy ją nawet gdy w zniecierpliwieniu dyktuje się kontrolerom, inspektorom i urzędnikom terminy nie-

realne. Dbamy tylko o jedno: by w ferworze prania brudów nie zagalopować się i nie skrzywdzić niewinnych, a także by nawet winę rzeczywistą osądzić w majestacie prawa. Stąd rodzi się zapewne u partnerów administracji podejrzenie, że niejedną sprawę załatwia się przewlekłe. Jest to osąd błędny. Zrzuciliśmy białe rękawiczki w rozliczaniu nadużyć. Nikt, kto zawińił, nie może liczyć na pobłażanie. Na sprawiedliwą ocenę — tak, ale nie na przykrycie oczu i taryfę ulgową. Taki kierunek wyznaczyła nam wojewódzka instancja partyjna i będziemy się go trzymać nadal.

Druga refleksja narzucająca się z sądeckiej lekcji rozrachunkowej dotyczy zakresu i wniosków kontroli. Padły tematy tabu, rozszerzyły się obszary podlegające społecznemu osądowi. Jest w tym niewątpliwie udział „Solidarności”. Okazało się, że dotychczasowy system kontroli nie zawsze zdawał egzamin. Zawodowe organa kontrolne dopiero wsparte informacjami pochodzącymi od społeczeństwa i przedstawiającymi rezultaty swych dochodzeń publicznie — odzyskały swe ustawowe kompetencje.

Trzeci wniosek wiąże się z pobudzeniem obywatelskiej wrażliwości na zjawiska patologii społecznej, takie jak kumoterstwo, prywata, deptanie godności człowieka. Ten ogromny kapitał zaangażowania wielu działaczy „Solidarności” powinien procentować w przyszłości. Jest to cenna wartość w profilaktyce społecznej, mocny czynnik odstraszający każdego, kto miałby w przyszłości zamiar postępować naganie i w niezgodzie z normami współzycia społecznego.

Wobec tak wielu statutów, jakie wnoszą w życie województwa te trudne i gorzkie negocjacje, wyraźnie posuwające do przodu proces odnowy moralnej socjalizmu — nie wydaje się celowe eksponowanie pewnych uproszczeń, niesprawiedliwych pomówień czy bezasadnych zarzutów, które też oczywiście mają miejsce. Należy koncentrować się nie na różnicach w ocenie odpowiedzialności konkretnych ludzi, nie na szczegółach, lecz na tych wątkach, które służą zmianie mentalności i moralności. W tym dziele bezinteresowna, obiektywna, wolna od osobistych urazów aktywność związkowców jest naturalnym sprzymierzeńcem partii i administracji.

Urząd Wojewódzki w Nowym Sączu jest zainteresowany w tym, by każdy postulat obywatelski został rozpatrzony dogłębnie, w ramach zarzut nie został zlekceważony. Dlatego pozytywny przełom w rozmowach komisji roboczej z „Solidarnością” witamy z zadowoleniem.

Stanowisko Egzekutywy KW PZPR

Po zapoznaniu się z dotychczasowymi ustaleniami organów kontroli partyjnej a także prokuratury i Najwyższej Izby Kontroli, po uwzględnieniu zarzutów wniesionych wobec kadr kierowniczych przez „Solidarność” (najczęściej były to przypadki badane wcześniej lub równolegle przez WKPP) — postanowiono:

• Skierować do komisji kontroli partyjnej materiały dotyczące wszystkich towarzyszy w stosunku do których zarzuty się potwierdziły, celem wyciągnięcia — w jak najszerszym terminie — wniosków partyjnych. Każda z tych spraw winna być omówiona w macierzystych organizacjach tych towarzyszy.

• Odwołać wszystkich towarzyszy w stosunku do których zarzuty zostały potwierdzone z pełnionych do tej pory funkcji partyjnych.

• Poinformować opinię publiczną o wnioskach partyjnych podjętych w stosunku do osób, którym w postępowaniu kontrolnym udowodniono postawione zarzuty.

• Zalecić zespołom prowadzącym rozmowy z kadrą kierowniczą zwrócić uwagę na postawę etycznie-moralną, kwalifikacje zawodowe oraz określenie dalszej przydatności na zajmowanym stanowisku.

• W trosce o likwidację napięć społecznych zobowiązuje się Sekretariat KW i towarzyszy współdziałających z zespołem roboczym szczebla centralnego do rzetelnego przygotowania stanowiska w dalszej części rozmów dotyczących przekazania niektórych obiektów będących w dyspozycji władz centralnych i wojewódzkich na cele ogólnospołeczne kierując się intencjami wnioskodawców oraz opiniami specjalistów kompetentnych do określenia funkcjonalności obiektów.

Egzekutywa KW uważa, że istnieje potrzeba i szansa doskonalenia współdziałania instancji i ogniw partii z komisjami „Solidarności” w realizacji porozumień społecznych służących kontynuowaniu procesu socjalistycznej odnowy. Zaleca się organizacjom i instancjom partyjnym natychmiastowe reagowanie na skargi, wnioski i krytykę, by nie dopuszczać w przyszłości do powstawania nieprawidłowości w życiu społeczno-politycznym.

Eksperyment turystyczny

Gdybym miał naszkicować schemat organizacyjny obowiązujący w polskiej turystyce, wątpię, czy potrafiłbym należeć wywizać się z tego zadania. Przykładowo w województwie nowosądeckim działa szesnastka jednostek gospodarczych, prowadzących obsługę ruchu turystycznego.

Dyrektor Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu — Stanisław Mirek twierdzi: — Utożsamienie siebie wszystkich ogniw tworzących polską gospodarkę turystyczną, jednoznaczne określenie, kto komu podlega, kto przed kim za co odpowiada, kto kogo z czego rozlicza, kto czym zarządza i kieruje, jest praktycznie niemożliwe.

Pierwszego kwietnia br. wojewoda nowosądecki podjął decyzję o rozwiązaniu Zarządu Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Turystycznej. Jest to pierwszy w kraju przykład decentralizacji przedsiębiorstwa turystycznego na szczeblu wojewódzkim. W miejsce WPGT powołany zostanie dziesięcioosobowy zespół do spraw nadzoru nad działalnością przedsiębiorstw turystycznych, który zajmie się koordynacją i kształtowaniem świadczonych przez nie usług. Z wnioskami tymi występowały od dłuższego czasu związki zawodowe, konferencje samorządów robotniczych, jak również radni (między innymi obecny przewodniczący WRN — Tadeusz Zamotowski).

Utworzone w 1976 roku WPGT, będące konsekwencją nowego podziału administracyjnego kraju, pomyślane było jako organizm mocno osadzony

w terenie, podporządkowany wojewodzie, mający stworzyć luźniom warunki do dobrego wypoczynku. Czas wykazał, że tak się nie stało.

WPGT — potentat w kraju pod względem obrotów wewnętrznych (miliard złotych) i uzyskanego zysku (23 miliony złotych za 1980 rok) nie opierało się jednak na właściwych podstawach ekonomiczno-financejnych.

W okresie, kiedy klientem WPGT były zakłady pracy, nie było większych problemów. Sprzedawano skierowania bez specjalnego zastanowienia się, czy jest to towar dobry, czy wart jest wystawionej ceny. Kres prosperity nastąpił w roku 1978, w ślad za decyzją prezesa Rady Ministrów o limitowaniu wydatków budżetowego funduszu socjalnego na zakup czasów opartych o sejt i rze uspołeczniony.

Rozkręcona maszyna nadal jednak kierowała się kryterium zysku i rentowności. Nadzarpnięta została więc z jednostkami podstawowymi. Zlikwidowano nierentowne wyciągi narciarskie i parkingi, nie biorąc pod uwagę ich znaczenia społecznego. Zawyżone ceny usług turystycznych również spotkały się z szerokim sprzeciwem. Siłowem, zapomniano o organizowaniu taniego wypoczynku, na przykład dla młodych małżeństw, matek z dziećmi i emerytów. Dyrektor Zarządu WPGT zobligowany odgórnymi wskaźnikami myślał jedynie o tym, jak wywizać się z planu, nie ważne czy to miało coś wspólnego ze stworzeniem ludziom warunków do godziwego wypoczynku i rekreacji.

W tegorocznym sezonie na własny rachunek pracować będzie pięć samodzielnych przedsiębiorstw turystycznych: „Jaworzyna” w Krynicy, „Śnieżnica” w Limanowej, „Poprad” (z ekspozyturą „Kornuty” w Gorlicach) w Nowym Sączu, „Podhale” w Nowym Targu i „Tatry” w Zakopanem. Na rzecz wymienionych jednostek działają także Przedsiębiorstwo Budownictwa Tuystycznego, którego docelowo przerób roczny wyniesie 100 milionów złotych.

Podstawową zasadą funkcjonowania tych przedsiębiorstw powinien być zdrowy rachunek ekonomiczny, dostosowany do specyfiki miejscowych potrzeb i możliwości oraz zapewnienie większej elastyczności w działalności merytorycznej i finansowej.

Z pomocą rolnictwu

Spśród wielu problemów, z jakimi na co dzień boryka się rolnictwo, na czoło wybija się brak części zamiennych do maszyn i urządzeń. Z powodu braku opon, akumulatorów, sprzętów, łączy i wielu innych elementów stoją beczynnie ciągniki, maszyny do rozszewnia nawozów i wapna, rozstraszacz obornika. Dlatego słowa pełne uznania należą się Oddziałowi Wojewódzkiemu NOT, który wraz z Wydziałem Rolnictwa i Skupu Urzędu Wojewódzkiego zorganizował — na początek kwietnia — giełdę niezbędnych dla rolnictwa materiałów, surowców, sprzętu i części. Były wśród nich m. in. gwoździe do brzozy, sprzęt do kosiarzek, łańcuchy, podkowy, lemiesz, a nawet... ruszta do pieców.

Bpośrednim celem giełdy było znalezienie wytwórców, którzy podjęliby się produkcji owych, tak potrzebnych obecnie rolnictwu, elementów i narządów. Plon spotkania stanowiło czterna-

ście ofert. I tak: POM Podgórzanie podjął się produkcji gwoździ do bion, a 13 tys. lemieszów oraz 300 sztuk kolanków rury wydechowej do ciągnika „Urusus” obiecał dostarczyć „Glinik” z Gorlic. Pomoc dla rolnictwa zadeklarowały również warsztaty szkół mechanicznych i zasadniczych. Są to: ZSM z Gorlic (ruszta do pieca), ZSEM z Nowego Sącza (noże z nakładką do sieczkarni), ZSME z Limanowej (kopaczki) i wreszcie ZSZ z Grybowa (3 tys. sztuk podków dla koni).

Nie wszystkie z zaprezentowanych na giełdzie części znalazły wytwórców. Po pierwsze nie każdy z zaproszonych zakładów dysponuje odpowiednimi materiałami i dokumentacją. Z drugiej strony — podjęcie się tego typu produkcji ubocznej, wymaga wprowadzenia nowych technologii, oprzyrządowania itd. Dlatego wytwórcy tym sposobem narzędzia są o wiele droższe. To także odstrasza potencjalnych producentów. Sądzą jednak, że jak na pierwsze tego typu spotkanie, to jego rezultaty są i tak znaczne.



* PANORAMA REGIONU *

Partyjni w ZNTK pytają

— odpowiada Henryk Kostecki

— Jakie były motywy rezygnacji z pełnionych funkcji? — Romana Neya, Tadeusza Grabskiego, Stefana Olszowskiego i dlaczego się wycofano?

— Tego rodzaju wystąpienia było więcej (postąpił tak prawie wszyscy członkowie Biura Politycznego), a po drugie — to nie były rezygnacje w dosłownym tego słowa znaczeniu, lecz oddanie się do dyspozycji Komitetu Centralnego. Ja to odczułem jako próbę wyjścia naprzeciw powszechnym oczekiwaniom, że Plenum przyniesie zmiany kadrowe. Zresztą jadąc do Warszawy sądziłem podobnie. Dopiero na miejscu, podczas rozmów z innymi towarzyszami, zadaliśmy sobie pytanie: czy zmiany kadrowe odsuną wtórkową gróźbę strajku generalnego? I odpowiedź — nie. A więc zgodnie z zasadą: „podczas boju nie zmieniać towarzyszy, zrobić to potem” — postanowiliśmy odłożyć decyzję. Spróbujcie sobie wyobrazić atmosferę, w jakiej obradowaliśmy; przede wszystkim wtórkowa groźba strajku generalnego, wiadomość, że w Gdańsku zebrało się około trzystu sekretarzy organizacji partyjnych, wyrażających sprzeciw w stosunku do referatu Biura Politycznego. Ponadto poinformowano nas o rozchodzących się po Warszawie ulotkach o tym, jakoby Biuro Polityczne już nie było.

W powszechnym odczuciu IX Plenum było niewypałem. Zarzuca się partii, iż przycupnęła gdzieś na uboczu i czeka, aż rząd dogada się ze związkami, zawodowymi. Jakże jest Wasze zdanie, Towarzysze Sekretarzu, na ten temat?

— Zdaję sobie sprawę, że społeczeństwo może czuć i i czuje — pewnie niedosyt. Zwalazca, jeżeli chodzi o zmiany kadrowe. Ja również (w tej sprawie) odczuwam jakby rozdwojenie

jaźni. Zastanawiam się jednak: czy gdyby doszło do strajku generalnego, ktośkolwiek wspominałby o nich? I drugie pytanie, zupełnie innego rodzaju: czy ci, którym udało się jeszcze zachować zagrożoną pozycję, są w stanie wyciągnąć z tego pozytywne wnioski? Nie wiem. Chociaż, trzeba przyznać, iż nikt — nawet z najbardziej zagorzałych krytyków pracy Biura Politycznego — nie potrafił wskazać na konkretne osoby odpowiedzialne za taki stan rzeczy. Oczywiście, jestem o tym przekonany, należy pociągnąć do odpowiedzialności (i to nie tylko partyjnej) wszystkich, którzy doprowadzili kraj do obecnej sytuacji, lecz musi zostać spełniony jeden warunek — praworządność. Cała partia nie może wziąć na siebie winy za kilka osób z kierownictwa. Nie zatraćmy się w tym osądni. Jest nas coraz mniej i jesteśmy coraz bardziej zmęczeni. Przed podjęciem ostatecznych decyzji nie możemy mieć najmniejszych wątpliwości, że to co robimy jest słuszne.

— Czy podczas Plenum przedstawiciele naszego województwa zabierali głos, a jeżeli tak, to w jakim temacie?

— Byłem przygotowany do głosu. W każdej chwili mogę pokazać tekst wypowiedzi. Jednak przysłuchując się poszczególnym wystąpieniom osądzam, iż są one bardziej krytyczne od mojego. Postanowiliśmy więc z niektórymi towarzyszami ustąpić pola tym, którzy mieli więcej do powiedzenia.

— Ale krakowski sekretarz, Krystyn Dąbrowa wystąpił.

— Zobowiązała go do tego Egzekutywa KZ PZPR z Huty im. Lenina. Zwróćcie uwagę, że bezpośrednio po powrocie do Warszawy — mając za sobą nieprzespaną noc, I sekretarz KK PZPR pojechał do Huty, gdzie przez bity 4,5 godziny odpowiadał na pytania dotyczące IX Plenum KC. Cieszę się, że chwalcie K. Dąbrowę, nie ma on wcale łatwego życia. Krakowskie środowisko wprost kipi od dyskusji.

— Co się dzieje z byłym wojewodą Lechem Bafią, byłymi sekretarzami Komitetu Wojewódzkiego, Ewą Szalańską i Janem Kanią? Pytam, bo był u nas taki komunikat „Solidarność”, że użyte wymienione osoby oddelegowano do pracy w Komisji Zjazdowej, i że są oni pracownikami Komitetu Centralnego.

— Wiem, że taką informację podał red. Henryk Cysanik w IV programie radiowym, nie rozumiem jedynie, co chciał przez to osiągnąć. Otóż z Ewą Szalańską spotkałem się na Plenum (ona jest zastępcą członka Komitetu Centralnego), i jak do tej pory jeszcze nigdzie nie pracuje. Jeżeli chodzi o Lecha Bafię, to jest pracownikiem administracji centralnej. Niestety, trudno mi dokładnie określić gdzie, ponieważ Bafia nie rozmawia ze mną, sądzi, że za mało broniliem go w Sączu. Tow. Kania jest urzędnikiem w budynku Komitetu Centralnego, jako kierownik sekretariatu. Nie są oni członkami Ko-

misji Zjazdowej. Uświadomcie sobie, że przejście do Warszawy, nie zawsze oznacza „kopniaka w górę”, bo w stolicy są zarówno ministrowie, jak i sprzątaczkini. Zdaję sobie jednak sprawę, iż ludzie przyjmują tylko te wiadomości, które chcą usłyszeć. Przestaliśmy sobie wzajemnie wierzyć i to na każdej płaszczynie, nawet w tej samej organizacji partyjnej panuje jeden wielki kryzys zaufania. I tak, gdy mówię: kampania sprawozdawczo-wyborcza przed Nadzwyczajnym Zjazdem Partii musi być dobrze przygotowana, ktoś powie: „aha to jeden z tych, co boją się o własny stołek”. Mówię: sytuacja Polski jest dramatyczna, ktoś pomyśli sobie: „ale straszny”. A nasze położenie jest wręcz tragiczne, gdybyście zobaczyli wyniki za pierwszy kwartał, moglibyście mnie posądzić o przykry kawał primaaprilisowy. Z drugiej strony, sytuację pogarsza niewłaściwe tempo i pewna niekonsekwencja w załatwianiu spraw. Komisje rządowe są nieprzygotowane do negocjacji, często nie posiadają odpowiednich uprawnień. Z kolei terminy podawane przez „Solidarność” są niesamowicie krótkie. Obie strony uparcie trwają przy swoim. Cóż, w takiej sytuacji o nieszczęściu niełatwo.

— Dodajmy do tej wynikowej relacji, że w kwietniu całe kierownictwo KW odbyło dziesiątki spotkań w zakładach pracy. Dyskusje były szczerze, niczego nie owijano w bawełnę. Ale usłyszałam i taką opinię: — Mówimy już zdążyli wykorzystać wszystko, co nas boli. Teraz chcemy wiedzieć, jakie konkretne wnioski wyciągną władze.

— Nic dodać, nic ująć: zaczyna się czas przechodzenia od słów do czynów.

DANUTA KIER

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

lokalu, bo takiej wystawy nie można organizować w piwnicy, towarzysze sami chyba rozumieją, zaś galeria właśnie w piwnicy się znajduje. Towarzyska prosi więc, aby nie tracić czasu na jawne dyskusje oraz aby prezes i wiceprezes fotomatorów zameldowali się u niej we czwartek o dziesiętej z kosztorysem imprezy (realnym).

Nasz prezes jest śmiałym wizjonerem, człowiekiem panoramicznym i szerokoekranowym. Świat jawi mu się w postaci feeril barw, bezmiaru form, a jego głowa pełna jest pomysłów, strzelających niczym racie w nocny mrok rzeczywistości. Przypomina nieco moją ciocię. — Co u Cioci słychać? — pytam kiedyś. — E, nie nowego, jadę do Maroka? — odpowiada niedbale. — Ach tak, do Maroka? — wyrażam uprzejme zdziwienie. — Owszem. Jakaś agenda ONZ postanowiła rozwinąć w Maroku sadownictwo, ogłosiła międzynarodowy zjazd, więc jadę. — Ale przecież Ciocia nie jest sadownikiem, lecz zootechnikiem. — No właśnie, w tym pewien szkopuł — wdycha ciocia — a prócz tego przyjmują tam wyłącznie młodych mężczyzn. — No, to szczęśliwej podróży, niech mi ciocia przysła widokówkę z Casablanki — mówię wesoło, starając się wczuć w sytuację. — Dobrze, przysła — obiecuje ciocia, szczęśliwa, że ja rozumiem. — Śmieję się, taki tok myślenia przynosi wspaniałe efekty. Na przykład ciocia pisała pracę magisterską „Działalność ogierów na Podhalu w latach 1945—1962”, a ponieważ przyznawano akurat stypendia na badania, związane z dwudziestolecie Polski Ludowej, ciocia zmieniła tytuł swej dysertacji na „Działalność ogierów na Podhalu w dwudziestolecie Polski Ludowej” i dostała za to parę groszy.

Podobnie rozumował Prezes. — Stary — entuzjastycznie — taka rebucha, to dla nas szansa! Władze się nami zainteresowały! Zrobimy wystawę a oni kupią nam sprzęt, dadzą lokal na klub i ciemnie, załatwią przydział papieru i chemikaliów — bo zrozumiemy, że jesteśmy potrzebni i w razie czego mogą na nas liczyć!

Mówił konspiracyjnym szeptem, ja zaś byłam wyłącznym adresatem jego impresji — więc władze nie dowiedziały się nigdy, jakie Prezes wiąże z nimi nadzieje i czego od nich wymaga. Siedzieliśmy w sekretariacie, czekając na Towarzyszkę. Prezes szeptem niezmordowanie, raz po raz przeglądając nerwowo kosztorys, ja zaś wyjęłam z torby „Tygodnik Powszechny” i pogrążyłam się w lekturze felietonu Kisielea, ścigającego na siebie dyskretnie spojrzenia kręcących się po pokoju pracowników aparatu.

Niebawem nas wpuszczono.

Gabinet Towarzyszek był ubogi, lecz schludny. Miejsca było w nim niewiele — tak mało, że nawet nie było gdzie wstawić palmy. W ciastym, kieszkowatym pokoiku mieściło się załedwie biurko Towarzyszek, oszklona biblioteczka, dwa pomarańczowe fotele i niski stolicek, tzw. jannik, do rozmów z miejscową ludnością; na seledynowej ścianie piał się bluszcz, okalający proporzycy klubu sportowego „Ruda Hvezda” z Gottwaldowa. Jedyne w bibliotece było jeszcze sporo miejsca: stały

ANTONI KROH

REBUCHNA

tam dwa niekompletne roczniki „Nowych Dróg”, albumy „Pomorze Środkowe” i „Ptaki naszych jezior”, trzeci tom dzieł zebranych Norwida, kilka folderów urodziskowskich, pamiątkowy talerz „40-lecie Krynlickiego Towarzystwa Hokejowego”, miniaturowa ciupakka z festiwalu „Tatrzańska Jesień” oraz różowa, opalizująca koncha na hebanowej podstawie ze sztucznego tworzywa, z napisem „Pamiętka z Ustki”.

— Witam towarzyszy fotografików. Siadajcie, siadajcie — powiedziała przyjaźnie Towarzyszka. — Mam nadzieję, że porozumienie z wami będzie łatwiejsze, niż z tą panienką, którą dość nieodpowiedzialnie wysłaliście na zebranie. Ale mniejsza z tym. Jakże są wasze warunki?

Prezes wyjął papiery. — To wykaz niezbędnych materiałów, a to lista osób, które będą brać udział w przygotowaniu wystawy, więc prosimy o ich ułupowanie za zakładów pracy.

— Ach, tak, tak, dobrze, dobrze... Zaraz to przekazać do załatwienia. Czy macie coś jeszcze?

— Tak — powiedziałem ze skupionym wyrazem twarzy, starannie dobierając słowa. — Pragnęlibyśmy usłyszeć ze strony kompetentnych czynników kilka zdań na temat koncepcji merytorycznej, zakresu tematycznego oraz ładunku ideowego tej ekspozycji, która może posiadać istotne znaczenie propagandowe; zdajemy sobie bowiem sprawę, że ciąży na nas nielatywny obowiązek, ponieważ oddziaływanie takiej wystawy wybiega daleko poza...

— Sądze, że sprawa jest prosta i nie ma co dzielić włosa na czworo — ucięła Towarzyszka. — Ludzie szybko zapominają o osiągnięciach i dokonaaniach, a wyolbrzymiają niedociągnięcia. Chodzi więc o to, aby zdjęcia uprzytomniły im, jaką drogę przebyliśmy na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci. Jedno zdjęcie — kocie łby, drugie zdjęcie — asfalt. Ja tak dla przykładu, chyba mnie rozumiecie. Tutaj ulica z parterowymi domkami, a tutaj ta sama ulica i proszę — dom towarowy. Tutaj ruiny, a tu nowe domy. Zapewniam towarzyszy, że propaganda wizualna przenika do świadomości lepiej, niż niejednen referat.

Trzeba przyznać z satysfakcją, że tym razem Prezes stanął na wysokości zadania. Zagonił ludzi do roboty, sam nie próżnował — i wkrótce zgromadził ze dwie setki starych i nowych fotografii. Opracował koncepcję, redagował podpisy, telefonował, biegał, załatwiał, dwócił się i troił.

Trzeba również wyznać ze smutkiem, że mój udział w wystawie był więcej niż skromny. Przyszedłem jedynie pomóc w montażu, a było to na kilka godzin przed otwarciem ekspozycji. Po zaśmieconych salach biegało nerwowo kilkunastu kolegów pici objoja, kłnąc, szukając nożyczek albo kleju, potykając się o kłębki drutu, rozkazując nie wiadomo komu albo nucąc sobie pod nosem modną melodię. Na parapecie leżała rozpostarta gazeta, a na niej chleb, słoik ogórków i napoczęta butelka wódki. Jakś biednie ubrany czeladnik, idący ulicą, zatrzymał się, przywarł twarzą do szyby i obserwował nas z zaciekawieniem.

— Ninka, masz już pierwszego zwiedzającego — powiedziałam na powitanie do plastyczki, zawiadującej całym tym interesem.

— Głupi jesteś — mruknęła gburowato, ale rzeczowo. — Zobacz, on się wpatruje w chleb i gorzlik. Weźże się wreszcie do roboty, nie stój jak ciecie.

No, a wkrótce potem było uroczyste otwarcie. Przyszedł Prezydent, przyszedł Facet od Kultury, przyszedł Czynniki Społeczne, starszy człowiek w okularach i z wąsikami — oraz Towarzyszka, rzecz jasna, która z okazji naszej wystawy była nawet u fryzjera. Publiczność stanowiliśmy my, wykonawcy. Stanęliśmy w jednym kacie sali, oni w drugim; krótkie, sympatyczne powitanie, Towarzyszka podziękowała nam w serdecznych słowach, a po tej części oficjalnej zbliżyliśmy się do siebie, stanęliśmy kołem i rozpoczęliśmy swobodną, towarzyską pogawędkę. Okazało się, że wszyscy jesteśmy mili, kulturalni i mamy sobie wzajemnie wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia.

Po kilku dniach zadzwonił do mnie z ratusza, żebym przyszedł odebrać nagrodę za pracę społeczną. Stałem się zaraz, podpisałem co trzeba i wyszedłem z budynku. Mnąc w kieszeni tysiąc złotych banknot, szedłem przez rynek i myślałem o władzy z niechęcią. Dali mi tysiąc złotych, a mogli ze dwa. No, przynajmniej półtora.

LABIRYNT

Istnieje w naszym społeczeństwie ogromne zapotrzebowanie na informację prawną. Znajomość obowiązujących przepisów — od ustaw po akty niższej rangi — jest na ogół tak niska, że zwykły obywatel nieświadomy jest swych podstawowych praw i obowiązków. Gorsej: nie wie nawet, do kogo się zwrócić, by mu wyjaśnione, w jaki sposób dochodzić ma swych racji.

Przyczyny tego stanu rzeczy są rozliczne. Z jednej strony — programy oświatowe w minimalnym tylko stopniu uwzględniają podstawowe wiadomości o systemie prawnym naszego kraju. Z drugiej — ogromna ilość różnego rodzaju rozporządzeń, zarządzeń, instrukcji i wytycznych — niekiedy, nawiasem mówiąc, zupełnie niepotrzebnych lub zgola sprzecznych z intencją ustawy — wydawanych przez poszczególne resorty stanowiłaby labirynt, trudny do przebrnięcia nawet dla prawników-profesjonalistów.

Ostatnie miesiące pogłębiły ów stan prawnego chaosu. Dyskusje nad koniecznymi zmianami w ustawodawstwie, wypracowywane zmiany aktów wykonawczych, nowe układy zbiorowe pracy w poszczególnych branżach itd. spowodowały przyspieszenie „melik w głowach”. Co jest jeszcze obowiązującym prawem, a co już nim być przestało? Co jest już obowiązującym przepisem, a co nim dopiero będzie? Mnożą się pytania i wątpliwości.

Nie więc dziwnego, że nawet tak młoda — jak nasza — redakcja indagowana jest coraz częściej przez Czytelników, proszących o porady prawne, wyjaśnienia sensu obowiązujących przepisów. Nie mogliśmy sprostać zadaniu sami — stąd zrodziła się koncepcja cotygodniowych, regularnych dyżurów prawnych w naszej redakcji.

Zwróciliśmy się o pomoc do Zespołu Radców Prawnych Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu. Godzi się w tym miejscu podziękować za pomoc, jaką nam oka-

zali. 2 kwietnia po raz pierwszy oddaliśmy do dyspozycji naszych Czytelników redakcyjny telefon, a przez następne dwie godziny odwiedzali nas ludzie, proszący o poradę. Dyżurująca tego dnia w redakcji radczyni prawna UW, mgr MARIA KUSTRA w ciągu tych trzech godzin niewiele miała wolnych chwil. Tydzień później mgr WIESŁAWA BORCZYK, kierowniczka zespołu, również sasypany była dziesiątkami pytań.

Wachlarz kwestii prawnych, o rozstrzygnięcie których zwracają się do nas Czytelnicy, jest ogromny. Najwięcej dotyczy prawa pracy. Wymieniam przykładowo: sprawa wymiaru urlopu po okresie renty chorobowej; zasady zaliczania ciągłości pracy; sposób obliczania urlopu wypoczynkowego po okresie bezpłatnego urlopu macierzyńskiego; zasady przyznawania nagród jubileuszowych; czy zawarcie umowy o pracę na czas określony obliuguje zakład do zawarcia umowy stałej?

Trafiały się też sprawy z dziedziny prawa cywilnego. Jak wygląda prawo do dziedziczenia wkładów oszczędnościowych w PKO? Kto może przejąć w spadku gospodarstwo rolne?

W dramatycznej sprawie zwrócił się do nas inny Czytelnik: jego syn odbywa karę pozbawienia wolności; podczas rozprawy biegli stwierdzili u niego pewne anomalie psychiczne. W zakładzie karnym nie ma mowy o właściwej opiece psychiatrycznej. Co robić, do kogo się zwrócić?

Nie we wszystkich sprawach można udzielić porady „od ręki”. Niektóre z nich wymagają gruntownego przestudowania rozlicznych przepisów, wyjaśnienia do końca wszystkich okoliczności. Dyżurujący prawnicy proszą wówczas o tydzień zwłoki; odpowiedzi zostaną udzielone listownie, bądź też osobiście, podczas kolejnego dyżuru.

Redaktor „TRYBUNY”

Rolnicza „usługa”

Pragnęłam niedawno skorzystać z usług Kołki Rolniczego w Szczawnicy-Krośniku — i jeszcze bardzo długo przyjdzie mi płacić za moją lekkomyślność. Na zaorane jesienią ubiegłego roku poletko potrzebowałam głębogryzarki, którą 23 marca udało się wreszcie dostać. Kierowca ciągnika zamiast jeździć po polu 2-3 godzin, poświęcił pracy niecałą godzinę. Z roboty, którą na tym polu wykonał ludzie się śmieją...



Od tego dnia kilkakrotnie wydepławałam biura i korzystałam z Zarządu Kołki Rolniczego. Prosiłam, biegałam, obiecywałam, że opłacę usługę jeszcze raz i to podwójnie, byle mi tylko tak zrobił grunt, aby pole nadawało się do sadzenia ziemniaków. Niestety — bezskutecznie.

Co dnia wychodzę więc w pole i rozbijam motyką skiby, rozmyślając przy tym, jako to dobrze, że dzięki kołkom rolniczym i mechanizacji rolnictwa nie muszę się męczyć...

JOZEF ZACHWIEJA-MADZIAR
Szczawnica

Na temat usytuowania osiedla przy ul. Rewolucji Październikowej w Krynicy, urągającego wszelkim zasadom sztuki budowlanej i architektonicznej wypowiadali się już niejednokrotnie mieszkańcy. Szkoda tylko, że ich głosy nie docierają do władz Spółdzielni Mieszkaniowej. Od chwili oddania do użytku bloku nr 13, tj. od grudnia 1972 r. Spółdzielnia nie zrobiła nic w celu zagospodarowania terenu. Cały obszar wokół bloku został urządzony czyniami społecznymi mieszkańców. Niestety nawet tego nie potrafiono uszanować, niszcząc przed kilku laty wykonany reżym lokatorów trawnik.

Blok nr 13 jak i całe osiedle nie miał instalacji gazowej, w odróżnieniu do osiedla na ul. Wspólnej, Tyśiąclecia i innych później oddawanych bloków. Instalacja taka zakładana była dopiero po wielu latach na koszt mieszkańców, przy niekompletnym wyposażeniu w urządzenia. Obok niedogodności zwi-

zanych z kuciem i przebijaniem ścian, wszystkie prace konieczne w celu poprawnego doprowadzenia mieszkań do stanu używalności (poprawki murarskie, malowanie) wykonywali osobiście mieszkańcy bloku na własny koszt bez

usuważy sami mieszkańcy, gdyż brigada konserwatorów istnieje tylko formalnie. Ogrzewanie mieszkań jest skandaliczne, a żadne interwencje w Spółdzielni nie przynoszą rezultatów, zaś mieszkańcy są odsyłani do RPGK.

Za co płacimy podwyższone czynsze?

żadnej pomocy ze strony Spółdzielni, która pomalowała jedynie klatkę schodową, zresztą jeden jedyny raz od roku 1972. Wszelkie awarie w mieszkaniach, których w związku z fatalnym wykonaniem bloku jest bardzo wiele,

usuważy sami mieszkańcy, gdyż brigada konserwatorów istnieje tylko formalnie. Ogrzewanie mieszkań jest skandaliczne, a żadne interwencje w Spółdzielni nie przynoszą rezultatów, zaś mieszkańcy są odsyłani do RPGK.

za 1 m². Argument, że od 12 lat opłaty czynszowe nie uległy zmianie, a ceny artykułów i materiałów zużywanych do utrzymania zasobów Spółdzielni uległy podwyżkom jest nie do przyjęcia, gdyż mieszkańcy bloku nr 13 w okresie najniższych mieszkań ze świadczonych tych nie korzystali. Zresztą jak wytłumaczyć fakt równoległego obniżania opłat czynszowych w bloku przy ul. Bieruta i Kościuszki?

Chcielibyśmy więc otrzymać wyjaśnienie, dlaczego Spółdzielnia nie liczy się zupełnie z opiniami jej członków, jakie w przedmiotowej sprawie — bez wyjątku — były wyrażane na zorganizowanym ostatnio zebraniu? Dlaczego nie szuka się rezerw w oszczędności i bardziej efektywnym gospodarowaniu majątkiem?

ANTONI NAWROCKI
Krynica



Istotne novum w tematyce prac GRN w Tymbarku w bieżącej kadencji stanowią problemy ochrony naturalnego środowiska człowieka. Sprawy te były podnoszone kilkakrotnie na sesjach rady.

Główne zagrożenie środowiska stanowi wytwórnia mas bitumicznych. Lokalizacja tego zakładu jest ze wszelkich punktów widzenia błędna. Wytwórnia nie posiada prawie żadnych urządzeń chroniących środowisko przed zanieczyszczeniem, zaś substancje smoliste charakteryzują się wysoką szkodliwością dla organizmu

człowieka (działanie rakotwórcze). Zakład zanieczyszcza wody w ujeściu dla Tymbarku, Limanowej i dla Zakładu Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego; pyły i dymy z wytwórni niszczą lasy i grunty uprawne. Warto w tym miejscu dodać, że Tymbark jest miejscowością turystyczno-wczasową, a utrzymanie obiektu przekreśla plany gminy, które dalszy jej rozwój wiąże z turystyką i wypoczynkiem.

Z tych powodów komisja ds. ochrony środowiska GRN zawnioskowała podczas sesji 31 marca zmianę lokalizacji tego obiektu.

Zgola odmienne stanowisko Rejonu Dróg Publicznych w Limanowej, któremu wytwórnia podlega, przedstawił jej dyrektor S. Grosicki. Stwierdził, że jest to obiekt na tym terenie konieczny. Pragnie on bowiem szybko i sprawnie wyasfaltować podległe mu drogi, również na terenie naszej gminy. Nie widzi możliwości zmiany lokalizacji, bo pociągnęłaby za sobą duże koszty. Na dodatek opracowany jest projekt założeń techniczno-ekonomicznych rozbudowy i modernizacji istniejącej WMB, a w projekcie tym wytwórnia — ze względu na zorganizowaną emisję zanieczyszczeń — nie stanowi większego zagrożenia dla środowiska zewnętrznego. Maksymalne wartości stężeń

pyłowych i gazowych, jak również opadu pyłu, będą ze względu na zastosowanie dwustopniowego układu odprowadzania znacznie mniejsze od normatywnych. RDP posiada też wyniki badań wód, które nigdy nie wykazywały ich zanieczyszczeń. Innymi słowy — oddziaływanie WMB na środowisko nie jest tak szkodliwe, jak przedstawiało to komisja. Jednak z uwagi na rozbieżności w materiale dowodowym dyrek-

tor Grosicki wniósł o powołanie komisji z udziałem zainteresowanych stron i ekspertów.

Przez kilka godzin trwała dramatyczna dyskusja, w której — oprócz radnych — zabierali głos przedstawiciele miejscowych zakładów pracy, NSZZ „Solidarność” i krakowskiego Klubu Ekologicznego. Nikt nie negował potrzeby budowy dobrych, asfaltowych dróg — tym bardziej, że nie ma sesji, na której radni nie składaliby interwencji w sprawie budowy czy naprawy dróg. Z drugiej strony jednak wskazywano na skutki zdrowotne. Wyrażano wątpliwości co do skuteczności nowych urządzeń, które mają być zainstalowane.

Nie tylko zresztą Wytwórnia Mas Bitumicznych zatrąwa okolice Tymbarku. Istnieją zaniedbania w zakresie utrzymania czystości wód, powietrza i

ochrony powierzchni ziemi. Żaden zakład nie posiada strefy ochrony sanitarnej. Zakład Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego odprowadza ścieki bezpośrednio do rzeki Łososiny, gdyż istniejąca oczyszczalnia jest przeciążona. Posiada on już dawno dokumentację, środki i urządzenia na rozbudowę oczyszczalni, ale rozpoczęcie inwestycji przesuwane jest na coraz to nowy termin z powodu braku wykonawcy. Na dodatek ZPOW „na dziko” gromadzi wywary podestylacyjne w miejscach, gdzie szczególnie zagrażają one środowisku.

Rozwiązania wymaga także sprawa wysypisk śmieci dla właścicieli prywatnych posesji i budowy osadników przez prywatnych inwestorów. Jest to szczególnie pilne, gdyż fekalia człowieka odprowadzane są wprost do rowów przydrożnych.

Radni zwrócili również uwagę na zanieczyszczenia powietrza przez kotłownię. Domagano się m. in. kontynuowania starań o doprowadzenie gazu do Tymbarku.

Uchwała podjęta na sesji wskazuje konkretne kierunki dalszych działań w celu ochrony środowiska, zaś przedstawiciele krakowskiego Klubu Ekologicznego, samorządu wiejskiego i zakładów pracy zadeklarowali pomoc miejscowym organom administracyjnym przy realizacji tych zadań. Temat podejmują już od dłuższego czasu także władze wojewódzkie.

STEFAN ŚLUSARCZYK
Tymbark

CZYTELNIKOWI

Pan Józef Marczyk z Przemyśla, rodem sądeckanin, gromadzi wiadomości o losach swoich byłych kolegów szkolnych — absolwentów Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego im. Jana Długosza w Starym Sączu, rocznik 1930. Za naszym pośrednictwem zwraca się do ich rodzin i bliskich osób o ewentualne informacje, dotyczące interesujących go biografii.

W numerze 12 „Dunajca” z 22 marca br. opublikowaliśmy list p. Józefa Marczyka, zawierający m. in. wspomnienie o jednym z absolwentów PSNM — Adamie Sowińskim. Poniżej prezentujemy kolejną biografię.

Ludwik Rams

— żołnierz września



Ludwik Rams urodził się dnia 20 kwietnia 1903 roku w Moszczanicy Niżnej k. Starego Sącza, w ubogiej wiejskiej rodzinie. Podczas nauki w Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim im. Jana Długosza w Starym Sączu w latach 1925–1930, dyrektora tej szkoły udzielała mu pomocy materialnej w różnej postaci, gdyż na to w pełni zasługiwał, będąc wzorowym pod każdym względem uczniem, lubianym przez swoich kolegów i profesorów. Posiadał szczególne uzdolnienia do pracy ręcznej i rysunkowej.

Po złożeniu matury i odbyciu czynnej służby wojskowej w Bronie Podchorążych Rezerwy Piechoty Nr 5 w Cieszyńcu i w 1 Pułku Strzelców Podhalanów w Nowym Sączu, rozpoczął pracę nauczycielską w szkółce wiejskiej w miejscowości Oświecimskim. Po czterech latach pracy i złożeniu egzaminu kwalifikacyjnego otrzymał pełny urlop dla podjęcia studiów w Państwowym Instytucie Robót Ręcznych. Po ich ukończeniu został zatrudniony w szkole w Oświecimsku, gdzie pracował aż do wybuchu wojny.

Pod koniec sierpnia 1939 roku został zmobilizowany i jako podporucznik rezerwy wraz z macierzystym pułkiem poszedł w bój, z którego nie dany mu było powrócić. Osiadłszy za swoim plutonem przegrupowanie pułku na kolejne pozycje obronne na trasie Grybów—Gorlice, poległ wraz z grupą swoich żołnierzy, gdzieś w okolicach Szymbarku, prawdopodobnie 7 września. Nie znane są okoliczności tej śmierci, ani też miejsce, gdzie pochowano jego ciało. Kolega z ławy szkolnej — Stanisław Długosz z Nowego Sącza, który brał udział w kampanii wrześniowej w szeregach 1 PSP i w bitwie pod Lwowem za zniszczenie dwu czołgów otrzymał „Wirtuti Militari”, w liście do mnie nadmieniał, że widział po raz ostatni Ludwika Ramsa pod Grybówem 6 września, gdy na czele swego plutonu szedł wykonać otrzymane rozkazy.

Poniżej — fragmenty listów, dopływających do redakcji „Dunajca”, które otrzymałem od bliskich mu osób. Piszę jego siostrzeńca, p. Janina Falkowskiego z Kielc: „Ostatni raz widziałem wujka 29 sierpnia 1939 roku. Gdy o-

głoszono mobilizację, przyjechał z wypożyczonego do Nowego Sącza, by zgłosić się do 1 PSP. Przebrał się w nas w domu w mundur oficerski, pożegnał się z nami — i od tej pory ślad o nim zaginął. Gdzie poległ — nie dowiedzieliśmy się nigdy. Wujek miał narzeczoną, wiem, że mieszkała w Krakowie. Może ona po przeczytaniu apelu coś więcej Panu napisze?”

Zaś Władysław Bobula z Gorlic, jego kolega z Seminarium Nauczycielskiego, tak go wspomina: „Szczególnie wiele bolesnych wspomnień nasuwa mi piękna postać kolegi śp. Ludwika Ramsa. Pochodził z bardzo biednej rodziny chłopskiej. Zawód nauczyciela wybrał z zamiłowania i z chęci służenia Ojczyźnie i wielkim postępowym ideałom opólnoludzkim. Wyrastał w ogromnym trudzie o pracę kształtowała jego charakter. Był sumiennym, obowiązkowym, punktualnym i zawsze przygotowanym do lekcji (...) Długo przesiadywał nocami przy nikielnych świetle lampy naftowej i oprawiał książki. W umiejętności tej doszedł wprost do mistrzostwa, stał miał liczne zamówienia z bibliotek. Zginął w obronie Ojczyzny i wolności w nierównej walce z hitlerowcami. Cześć jego świetlanej pamięci!”

Pragnąłbym, aby ta piękna postać była zawsze wzorem dla wszystkich Polaków, a szczególnie dla wszystkich polskich nauczycieli.

JÓZEF MARCZYK
37-700 Przemyśl
ul. Hoża 23

Dezinformator

Dawny Oddział WPGT „Śnieżnica” w Limanowej, a ostatnio samodzielne przedsiębiorstwo, wydał w ostatnim czasie informator zatytułowany „Ośrodki czasowo-turystyczne Beskidu Wyspowego i Gorców”. Wynika z treści tej broszury, że na tym terenie w dziedzinie turystyki działa tylko jeden gestor — właśnie „Śnieżnica”. Nie wiem z jakich względów zapomniano o PTTK i „Gromadzie”.

Rozumiem, że „Śnieżnica” dba o swoje interesy i że jest to informator tego przedsiębiorstwa. Tytuł wydawnictwa zobowiązuje chyba jednak do pełnego przedstawienia zagospodarowania opisywanego terenu. Uważam, że informowanie tylko o agendach „Śnieżnicy” jest nieuczciwością nie tylko w stosunku do współdziałających na tym terenie biur obsługujących ruch turystyczny, ale i do turystów i czasowiczów, którym należy się kompleksowa i rzetelna informacja o wszystkich agendach, które mogą im służyć w czasie pobytu na Ziemi Limanowskiej.

Informator zawiera przy tym wiele błędów i „informacji”, które nie nie mówię. Cóż bowiem wywnioskować można ze zdania: „Ważną wspólną cechą tych miejscowości (tzn. położonych w Beskidzie Wyspowym — przyp. JW) jest specyficzny klimat, czystość wód oraz siowny folklor (jaki klimat, folklor jakich grup etnicznych)?”

Do PT Wydawnictwo mam jeszcze jedną prywatną tym razem pretensję: kto im zezwolił na przeofiarowanie mapy okolic Limanowej z przewodnika mojego autorstwa, noszącego tytuł: „Limanowa i okolice”, wydane go w 1977 r. przez Wydawnictwo „Sport i Turystyka”? Nie zachętało im się nie tylko spytać o zgodę, ale i usunąć błędów, jakie ta mapa — nie z mojej zresztą winy — zawiera. Np. na miejscach rzeki Smolnik nadal płynie Stradomka. Myślę jeszcze, że w tej sprawie wypowie się jeszcze Wydawnictwo „Sport i Turystyka”.

JAN WIELEK
Limanowa

ZYGMUNT BŁASZAK
Nowy Sącz

Mistrz gospodarności — czy niechlujstwa?

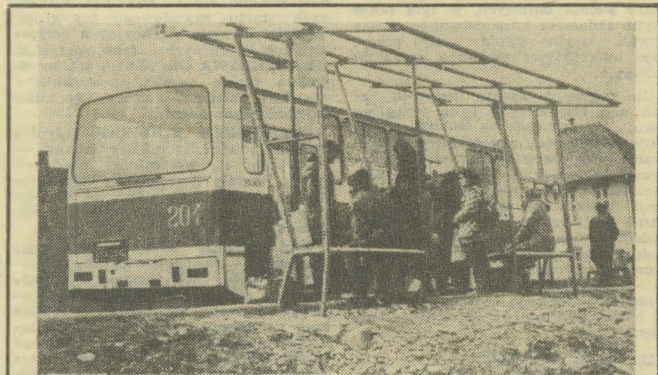
Jak doniósł ostatnio „Dunajec”, Stary Sącz znów zdobył tytuł mistrza gospodarności w skali wojewódzkiej. Ponadto o zaszczytnym tytule zdecydowała również estetyka...

Zapraszamy więc redaktorów „Dunajca”, by odwiedzić nasze miasto i przyjrzy się, jak to z tą estetyką jest naprawdę. Pierwszy z brzegu przykład: rynek. Mimo koszy na śmieci — zasypyany biletami autobusowymi, papie-

rami, ślasy domów brudne i odrapane. Polamane ławki, rozbita szyba w gablocie na przystanku autobusowym. Wandale zniszczyli efektowne donice na kwiaty, zdobiące rynek. Tablica, informująca o wystawach w WPGT została wysmarowana jakimś olejnymi farbami.

Najgorszą wzytówkę wystawia miastu klub „Omen”, przed którym zielenie zostały zamienione w śmietniki — i jakoś nikt nie kwapi się, by zrobić z nimi porządek. Balaganu dopełniają dziurawe rynny i pozrywane przewody elektryczne oraz polamane gonty zabytkowej studni...

BARBARA J.
(nazwisko i adres
znane redakcji)



Tuż przy granicy miasta Nowego Sącza z gminą Chelmiec, usytuowane są dwie wiaty na przystankach autobusowych komunikacji miejskiej. Od lat są kompletnie zdewastowane. Wielokrotnie w sprawie tych strasznych interweniował naczelnik gminy Chelmiec, choć stoją one już w granicach administracyjnych Nowego Sącza. Niestety ojcowie miasta jakoś ich nie dostrzegają. A szkoda, bo wiaty — potworki i elegancka tablica z herbem miasta stojące tuż obok siebie jakoś nie tworzą efektownej całości...

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

ŚLADEM naszych publikacji

„W kolejce po leki”

Pod takim tytułem ukazał się w numerze 15 „Dunajca” z 12 kwietnia br. artykuł, traktujący o kłopotach, z jakimi boryka się nasz przemysł farmaceutyczny, co z kolei wpływa na fatalny stan zaopatrzenia aptek. W uzupełnieniu — pragnąłbym więc przypomnieć, że niedawno zrodził się pomysł zorganizowania sprzedaży niewykorzystanych, pełnowartościowych i zwracanych przez nabywców leków. Niektórym bowiem udaje się kupić deficytowe leki, bądź otrzymują je z zagrancyj. Nie wszystkie są wykorzystywane albo też pozostają ich pewne ilości, które się marnują, podczas gdy są one potrzebne innym chorym. W okresie ostrego deficytu środków leczniczych inicjatywa ta wydaje się godną poparcia.

Tymczasem sprawa ta — jak wiele innych — utknęła w martwym punkcie. Może uda się ją ruszyć z miejsca właśnie w Nowym Sączu?

„Kłopoty filatelistów”

W związku z listem Czytelnika, opublikowanym pod powyższym tytułem w numerze 10 „Dunajca” z 8 marca br. Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny w Krynicy uprzejmie wyjaśnia, że Ob. Antoni Nawrocki istotnie nie otrzymał abonamentu filatelistycznego za 1980 rok z winy naszego UPT. Nie jest jednak prawdą, jakoby i pięciu innych abonentów również nie otrzymało zamówionych znaczków filatelistycznych.

W trakcie kontroli stwierdzono, że pracownik przyjmując zamówienie od Ob. Nawrockiego dokonał mylnego wpisu na rok 1979, zapewniono więc Ob. Antoniego Nawrockiego, że dokonany dodatkowego zamówienia oraz przeproszono za przykrość wynikłą z nie otrzymania znaczków i konieczność interwencji w tej sprawie.

Wyjaśniamy, że przyjmując zamówienia na abonament nie określamy terminu wykupu zamówionych znaczków, prosimy więc filatelistów o cierpliwość, gdyż znaczków za 1981 rok nie otrzymali wszyscy abonenci, a znaczki za IV kwartał 1980 roku również jeszcze nie nadeszły.

Zapewniamy, że dołożymy wszelkich starań by wyeliminować podobne nieprawidłowości w pracy tubiejszego UPT.

Naczelnik Urzędu
E. MIKOLAJCZYK

Dyżury prawne w redakcji „Dunajca”

...odbywają się w każdy czwartek, w lokalu naszej redakcji w Nowym Sączu, ul. Żółkiewskiego 11, II piętro (nad ośrodkiem zdrowia). W godz. 12–13 radca prawny dyżuruje pod numerem telefonu 238-00 udziela telefonicznych porad, zaś w godz. 13–15 osobiscie przyjmuje zainteresowanych.

DUNAJEC 5

Nie wierzę w to, że III Nadzwyczajny Zjazd ZSMP stanie się cudownym lekarstwem na bolączki młodych i wytyczy taki kierunek przyszłych działań, który zadowoli wszystkich członków Związku. O rozwoju bowiem każdej organizacji decydują nie zjazdy, lecz przede wszystkim to, co dzieje się między nimi.

Polski ruch młodzieżowy w swych powojennych dziejach przechodził liczne metamorfozy organizacyjne. W 1976 roku władze uznały, że w interesie młodego pokolenia leży jedność ruchu młodzieżowego. Samej młodzieży nikt o zdanie nie pytał. Dziś możemy powiedzieć, że formuła wielkiej, jednolitej organizacji, skupinającej młodych robotników, rolników i uczniów nikomu nie wyszła na dobre. — Robiliśmy co nam kazano, niewiele w tym było własnej inwencji i serca. Jakim celem miało służyć pozorne „zjednoczenie” trzech tak różnych środowisk? Wiadomo, że gdy trzymamy się wszystkich w kupie — łatwiej rządzić — usłyszałem na wojewódzkiej konferencji programowo-wyborczej młodzieży wiejskiej w Podgrodziu.

ZSMP powielił najgorsze kopie struktury świata dorosłych, w tym także partii. Działalce z upodobaniem naśladowali partyjne metody i styl pracy, gdyż była to gwarantowana droga do kariery.

Oto fragment raportu Instytutu Badań nad Młodzieżą z lipca ubiegłego roku: „Przeprowadzone badania ujawniają postępujący proces instytucjonalizacji form pracy organizacji młodzieżowej, które także redukuje cele wychowawcze, ideowo-moralne do deklaracji zgodności z wytycznymi przez partię i nie zausze — jak wykazały badania — prezentowanymi młodzieży i dyskutowanymi w organizacji programami rozwoju kraju, i które także — niezależnie od deklarowanych celów — epokują w codziennej pracy bierny konformizm od słuch członków...”

Dla wielu więc ZSMP stał się symbolem złe działającej organizacji, która dała się układowi prowadzić za „rączkę”. Wypada zapytać czy słusznie? Związek był taki, jaki mógł być. Gdyby na jego miejscu działała inna organizacja, czy znalazłaby sposób, aby okazać się lepszą? Wszak różniłaby się jedynie nazwą i na przykład strojem organizacyjnym, ludzie pozostaliby w niej ci sami.

Jakim więc powinien być Związek, by mógł obecnie spełniać oczekiwania młodych i całego społeczeństwa? Czy będzie to organizacja młodzieży czy dla młodzieży? Co proponuje swoim członkom? Pytań tych nie można zbyt milczeć. Dotyczą one każdego członka Związku, jak też samego Związku jako organizacji.

Jerzy Leśniak

Odzyskać twarz

ZSMP na wsi —
droga do wiarygodności

Na wsi działają obecnie dwie organizacje młodzieżowe: ZSMP i od 3 grudnia 1980 roku Związek Młodzieży Wiejskiej. Nie da się zaprzeczyć, że odrodzenie ZMW było między innymi pochodną utraty zaufania do ZSMP. W kulturach wspomnianych konferencji mówiono wprost: — ZSMP na wsi zgubiło człowieka. Zajmowano się akcjami, kampaniami, witkami — wszystkim, tylko nie interesami młodych mieszkańców wsi.

Problemy młodzieży wiejskiej narastały od lat. Wiele wyłudnia się i starzała, choć w publicznych dysputach przyczyn takiego stanu rzeczy nie doszukiwano się w trudnych warunkach startu zawodowego tej grupy młodzieży i mało atrakcyjnych perspektywach życiowych. Jako przykład WŁADYSŁAW GROMAŁA z Łętowin podał niskie zarobki pracowników wiejskich placówek kultury. Oto kilka dalszych wypowiedzi:

FRANCISZEK PINDZIAK (Lipnica Wielka) powiedział między innymi: — Pogarszała się opłacalność produkcji rolnej, mały dostawczy środków produkcji, następowało ubożenie, by nie powiedzieć nędza duchowa wsi, rolnik stawiał się dzierżawcą urzędu gminy.

FRANCISZEK GRYŁAK z Łąpszczyzny: — Jak długo „Kluby Rolnika” i „Ruchu” będą działać w prymitywnych warunkach? Stałe wysłuchiwanie obietnic, że kiedyś przyjdzie czas na poprawę. Co zaoferować ludziom w pomieszczeniu, które ma być ośrodkiem kultury, a w którym żelazne krzesła, betonowa podłoga, telewizor zasnuły wiecznym śniegiem i wiatrem, woda zaś leje się po ścianach? Ostrej krytyce poddano również koncepcję gminnych ośrodków kultury, których dyrektorzy pełnią jedynie funkcję dekoratorów na wiejskich festynach i masówkach. (**WŁADYSŁAW RAFACZ** z Czarnego Dunajca)

I jeszcze raz Franek Grylak: — Na polcach jednej ręki policzyć można naczelników, którzy dostarczają związek pomiędzy szeroko rozumianą kulturą a sprawami gospodarczymi. W latach 1979—1980 administracja terenowa województwa nowosądeckiego „zaoszczędziła” na kulturze dwa miliony złotych.

— Czy jednak obecne realia nie spowodują, że postulaty ZSMP nie pozo-

staną w sferze pobożnych życzeń? Przecież niebezpieczeństwo takie istnieje. Środków, szczególnie na nowe inwestycje jest zbyt mało... — pytał przewodniczącego Rady Młodzieży Wiejskiej ZW ZSMP **JOZEFA KURKA**.

— Nie chodzi nam o nowe nakłady — brzmiał odpowiedź. — Rzecz w tym, abyśmy nie byli tylko petentami i fikcyjnymi współgospodarzami. Jako przedstawiciele młodzieży wiejskiej mamy prawo do wyrażania sprzeciwu i zgłaszania pewnych wymagań. Tymczasem instytucje kształtujące obraz wsi nadal nie traktują nas poważnie. Niech świadczą o tym nieobecność wielu zaproszonych gości na naszej konferencji, na przykład przedstawicieli Wydziałów Rolnictwa oraz Kultury i Sztuki UW, Wojewódzkiego Ośrodka Kultury, Wojewódzkiego Związku Kółek Rolniczych, Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych, Wojewódzkiego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Banku Gospodarki Żywnościowej...

ZSMP wielokrotnie stawiał słuszne diagnozy zjawisk i problemów społecznych wsi. Nie stało mu jednak siły i konsekwencji, a przede wszystkim odwagi do samodzielnego działania. ZMW samym pojawieniem się zdobył wiarygodność. ZSMP musi na nią zasłużyć na nowo. A roboty starczy dla obu związków. Na wsi dobra jest każda organizacja, która jest pożyteczna dla rolnika, która pomaga mu stworzyć warunki do pracy i wypoczynku, która broni i reprezentuje nie tylko na papierze.

**Mądrze mówić... słusznie radzić...
dobrze pracować...**

ZSMP-owcy ze środowiska robotniczego obradowali w pamiętny poniedziałek 30 marca, kilka godzin przed wstrzymaniem strajku generalnego. Rzućmy to w znacznym stopniu na atmosferę konferencji. Posłuchajmy niektórych głosów:

Współpraca organizacji partyjnej z młodzieżową sprawowała się do odpytania: ile macie kół z prawem rekomendacji? Ile zebrały? Ile osób przekazałyście w szeregi PZPR? Jak wygląda wzrost szeregow partyjnych? Ile osób uczęszcza na szkolenia?

— ZSMP nie może służyć jedynie ratowaniu walących się planów, podejmować często niepotrzebne i źle przygotowane czynności społeczne...

Obecne pokolenie młodych — to pokolenie bez miłości, pokolenie, które w 90 procentach opiera swą egzystencję o pomoc rodziców. Dlatego też istnieje silna potrzeba zwiększenia budownictwa patronackiego, przezwyciężenia niedowładu słusznej precyzji akcji. **ANDRZEJ GAJDOSZ** stwierdził: — Budowlani nie dotrzymują terminów umów, po co je w takim razie podpisywać? W Gorlicach Jasielskie Przedsiębiorstwo Budowlane — w ogóle wstrzymało budowę dwóch bloków apartamentowych, w Nowym Sączu na osiedlu Barskiej 2-B wykopano jedynie fundamenty...

Z referatu **LUDEMILY BRZOSOWSKIEJ**, wiceprzewodniczącej Zarządu Wojewódzkiego: „...w zakładzie pracy młodzi obserwowali że zorganizowaną robotę, mało efektywną, nie stwarzającą szansy wypicia i czerpania z niej satysfakcji. Trudno było w tych warunkach przeciwstawić się ciociastwu i nierobstwu, trudno było o sprawiedliwą ocenę pracy. Sami uczeni przyznawali się do błędów, ale z uporem będziemy bronić efektów naszej pracy, a jest ich przecież немало.

Oto przykłady zaszytych na konferencji postulatów:

— obniżyć oprocentowanie kredytów MM (dla młodych małżeństw) i rozszerzyć listę towarów atrakcyjnych objętych tym kredytem,

— zapewnić udział ZSMP w komisjach dokonujących rozdziału mieszkań i miejsc w przedszkolach oraz żłobkach,

— wykorzystać faktyczny (a nie papierowy) dorobek racjonalizatorski młodych pracowników i ich kwalifikacje.

O spektakularnych rozwiązaniach, w postaci udziału przewodniczących instancji ZSMP w pracach egzekutywy PZPR czy Zespołu Młodych Radnych mówił **MARIAN CWIETNIAK**: — By mieć znaczenie polityczne trzeba operować siłą. Bo przecież polityka polega na operowaniu siłą, nie na teoretyzowaniu. I tu do dobrego rad udzielił Polisce Ostroróg, Modrzewski, Skarga czy bliski nam profesor Jan Szczepański. I co? I nie. Ich przemyslenia, dobre rady nie wywarły większego wpływu na zmianę sytuacji w naszym kraju. A to dlatego, że nie były popierane żadną realną siłą...

Tylko jedno hasło

Najliczniejszą grupę w wojewódzkiej organizacji ZSMP stanowi młodzież uczyszcząca do szkół średnich i politechnicznych (49,5 procent ogółu).

Dotychczas problemy ZSMP w szkole traktowano wstydliwie i z niedoświadczeniami. Z reguły nikt z uczniów nie protestował, gdy wychodził na jaw jaskrawe przykłady dyskryminacji i nieliczenia się z ich interesami. Wielu

KAZIMIERZ WRÓBEL

WYSOKIE LOTY

Opisałem kiedyś — jako naoczny świadek — lotniarską przygodę **JOZEFA GIGONIA**, który ze szczytu Giewontu poszybował ku Zakopanemu. Ten nieustraszony człowiek czuje się w powietrzu jak ptak. Na co dzień jest pracownikiem nowotarskiego kombinatu obuwniczego „Podhale”.

Przedstawiam dzisiaj jego zwierzenia przybliżające dylematy, z jakimi boryka się ten piękny sport.

— Kiedy zacząłem latać? Dawno, bardzo dawno. Najpierw na szybowcach, Skoki narciarskie, które uprawiałem — to także loty, trochę krótsze, ale start i lądowanie — podobne. W szybowcu czuję się jak ptak. Wolny, oderwany od ziemi, od trosk i zmartwień. W powietrzu czuję się tylko samą radość. Radość latania. Byłe wyższe, byłe dalekie, przed siebie, w słońce.

Lataniem więc na szybowcach z coraz większą satysfakcją. Pech zmusił mnie do rezygnacji z tego sportu. Lecąc kiedyś w chmurach spojrzałem przez nie prosto w słońce. Dostałem porażenia wzroku tak mocnego, że trzeba było długo się leczyć. Porażenie wzroku u pilota — nawet wylezione — nie pozostaje bez następstw.

Co mi zostało? Narty i skoki, biegi, rajdy motocyklowe, pływanie, kajakerstwo, uprawianie w kółko wolną chwilę. Sport już nie taki znów wycy-

nowy, ale sport, rekreacja, starty w zawodach, walka — potwierdzenie, że się jest sprawnym, że potrafi się wygrać nawet wówczas, gdy przeciwnik jest lepszy. Wygrywałem więc wszystko, co było do wygrania. Wolałem konkurencję indywidualną, wieloboje.

Szkoda mi jednak było szybownictwa. Chciałem nadal szybować swobodnie jak ptak, nad górami i zielenią lasów, nad otwartą przestrzenią. Miałem świadomość swobody latania.

Gdyby tak mieć skrzydła! Chodziłem w Pieniny. Z Sokolicy, Trzech Koron, Góry Zamkowej spoglądałem w dal, w koryto Dunajca, w dolinę rzeki, ku Tatrom i na północ. Stąd podobno kiedyś mniuch z Czerwonego Klasztoru latał na konstruowanych przez siebie skrzydłach. Górale pienińscy pokazują nawet miejsce, skąd startował. Ech, gdyby tak mieć skrzydła, gdyby mieć!

— Skrzydła Rogala. Wymyślił je podobno w Ameryce Polak, Rogalski. Szybko nazwano je lotnią. Na takich lotniach w przeszłości także Polacy latali.

Nie byłem pierwszym, który zbudował sobie lotnię. Dziś wspominam to z pewnego rodzaju rozczuleniem; pierwszy skok na lotnię, bo to jeszcze nie był lot, krótki, mało elegancki z trudnym lądowaniem, ale był.

Poczułem, że lotniarstwo jest w stanie zastąpić mi szybowictwo. Nie było to komuś na początku idzie z górki? Byli ode mnie lepsi, Lwie



nauczycieli! patrzy na kolo ZSMP jak na grupę ptaków, nie jak na organizację, która powinna współdecydować o kształcie własnej szkoły. Organizację, z której zdaniem szkoła powinna się liczyć. Jednakże podporządkowanie szkolnego aktywu bezpośrednio dyrektorowi, a nie własnej organizacji oznaczało, że w każdej sprawie ostatnie zdanie do powiedzenia miał właśnie dyrektor.

MARIUSZ DARLECKI, kierownik Wydziału Młodzieży Szkolnej ZW ZSMP powiedział: — Na ostatniej konferencji uczniowie po raz pierwszy przemówili własnym głosem, odważnie i uwalniając...

MALGORZATA PIERZGA z Liceum Ekonomicznego w Starym Sączu: — Chcemy mieć organizację niezależną i samorządną, chcemy być faktycznymi a nie fikcyjnymi współgospodarzami szkoły. Tymczasem władze gminne i oświatowe nie uważają nas za rzeczywistych partnerów. Wykorzystują nas do robienia frekwencji na nudnych zebraniach i prelekcjach. Pytam więc: po co tracimy czas, który moglibyśmy wykorzystać na wiele pożytecznych rzeczy.

ZBIGNIEW KOTARBA z Policealnego Studium Zawodowego w Nowym Sączu: — W sześćdziesięciu pięciu młodych nie ma ani jednego klubu dla nastolatków. Zamaria działalność Młodzieżowego Domu Kultury, usunęto grupę muzykujących zapaleńców z piwnicy Cechu Rzemiosł Różnych. Z „kulturalnych atrakcji” pozostają nam liczne lokale gastronomiczne.

— Konieczne i bez żadnych formalności należy udostępnić młodzieży po lekcyjach boiska szkolne i sale gimnastyczne. (**ADAM DUTKA**)

Wiele mówiono o praktykach zawodowych, o tym, aby czas na nich spędzony nie był czasem straconym. **JAROSŁAW BEREZNIAK** z Technikum Rolniczego w Bystrej wspominał o krzywdzących przepisach dotyczących wynagrodzeń za praktyki w gospodarstwach rolnych: — Często wykonujemy te same prace co pracownicy fizyczni zatrudnieni w gospodarstwie. Oni dostają pełną zapłatę, nasza zaś nie wystarcza na jedną, dobrą książkę. Czujemy się pokrzywdzeni, bo przecież widzimy, kto i ile wkłada pracy...

I ostatni już fragment: — Wiemy, że szkoła to nie sejmik. Ale nie potrzeba nam w niej tatusiów i suferów. Skończmy z górnolotnymi hasłami, z wyjątkiem jednego: ZSMP — związekiem przyjaciół.

W. Adamski w pracy pt. „Młodzież i społeczeństwo” (1978) pisał: „Czy młodzież mogłaby odgrywać większą rolę niż dotychczas? Tak, przez zwiększenie udziału w określaniu jej uprawnień i obowiązków, przez zwiększenie możliwości reprezentowania interesów młodzieży przez nią samą i jej organizację...”

Chłopska prawda

Leniwi idą do miasta?

Migracje wiejskie były nieuchronną konsekwencją niedyślatego przeludnienia wsi oraz procesów przemysłowania i urbanizacji. W latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych mogły uchodzić za przejaw pozytywnych przeobrażeń kraju. Dziś — ucieczka ze wsi budzi coraz większy niepokój: KTO BĘDZIE PRACOWAŁ W ROLNICTWIE?, KTO NAS WYŻYWI?

O swoim miejscu w zawodzie rolnika rozmawiają: **IRENA DYREK**, **ZOFIA JANCZY**, **ANNA JEŻ**, **ZBIGNIEW BRYNIAK**, **WIESŁAW JANUSZ**, **MIROSLAW WOJTAS** i **EDWARD WNEK** — tegoroczni maturzyści z Technikum Rachunkowości Rolnej w Marcinkowicach.

Ziemi nie można oszukać

EDWARD: — Rolnictwo to szczególnie zajęcie, które zmusza do uczciwej i rzetelnej pracy. Jak się oszuka ziemię raz, to następnym razem ona nie wyda plonów. Ale wyniki pracy rolnika zależą w dużym stopniu nie od niego samego, lecz od dobrze przygotowanego warsztatu pracy i odpowiedniego zaplecza.

WIESŁAW: — Dla chłopca nie istnieją wolne soboty, osmiodziesięć dni pracy, urlopy. W rolnictwie nie ma awansów i nagród. Młody człowiek w mieście idzie do fabryki i już ma zapewniony warsztat pracy. Na wsi tego nie ma.

MIROSLAW: — Zastanów się, w jakiej atmosferze pracuje rolnik. Czy istnieje prestiż tego zawodu? Nadal jest on nisko sytuowany w hierarchii społecznej. Dlaczego? To chyba proste... Wiesz — to ubóstwo życia duchowego, brak żłobków, przedszkoli, ośrodków zdrowia.

EDWARD: — Życie w mieście można szybko zmieniać na lepsze, niż na wsi. Sprzyja to drenażowi młodych kadr z ośrodków wiejskich, gdzie oprócz powietrza wszystko jest gorsze.

ANNA: — Odpływ ze wsi musi nasieć powód, gdyż nie może pięćro, sześćro dzieci pozostać na gospodarce. Ale jest jest, gdy odchodzą najlepiej.

ZOFIA: — Ja nie widzę dla siebie miejsca w mieście, choć o wiele tam łatwiej. Na wsi wprawdzie nikt nie pomaga młodym w zagospodarowaniu się; olbrzymią trudnością jest wybudowanie domu, zdobycie potrzebnych materiałów budowlanych.

ANNA: — Też chce wrócić na wies... Ale najpierw chciałabym studiować na Wydziale I Ekonomiczno-Rolniczym SGGW w Warszawie. A potem służę swoją wiedzę ziemi. Ale nam, mło-

dym, często jest przykro, kiedy dowiadujemy się o występach zespołów muzycznych, kabaretów, spotkaniach z ciekawymi ludźmi. W mieście zakłady pracy rozprawdzają bilety. Czy chłop kiedykolwiek otrzymał bilet na jakąś imprezę?

Uczucie czy interes?

MIROSLAW: — Rolnik chce, aby mu się produkcja opłacała. Tymczasem podnosząc ceny skupu żywności jednocześnie zwiększa się ceny paszy, której zresztą i tak jest jak na lekarstwo. Rolnik nie jest w stanie pracować intensywnie, nie wszystkie bowiem pasze można wyprodukować we własnym gospodarstwie. Niejedną więc nie rozwija takiej hodowli, jaką mógłby uzyskać.

EDWARD: — Marzę o tym, by zostać sadownikiem. Praca na wsi może przynieść olbrzymią satysfakcję. Człowiek widzi konkretne efekty swojego wysiłku. Nie jest to taka miłość do ziemi jak Boryna z „Chłopów” czy Niechcica z „Nocy i dni”. Ale coś w tym jest.

IRENA: — Nie może to jednak być miłość ślepa i bałwochwalca. Trzeba przełamać schematy zakodowane w psychice naszych ojców i dziadków. Nie każdy młody rolnik chce pracować takimi metodami, jak jego rodzice.

ZBIGNIEW: — Wiem, że starsi o porne przyjmują „nowości”. Ale po woli przekonują się, że nie ma chybeli. Współpracując ze starszymi nie możemy jednak odzignąć się od ich cenowego doświadczenia.

Moje czy nasze?

WIESŁAW: — Trzeba się zastanowić także nad naszą strukturą rolnictwa. Małe gospodarstwa, na które nie sposób dostać się kombajnem czy snopowiązałką, osiągały lepsze plony niż państwowe gospodarstwa rolne wyposażone w nowoczesne maszyny.

EDWARD: — Znam PGR-y, gdzie koszt produkcji litra mleka wynosi prawie dwadzieścia złotych.

ZBIGNIEW: — W gospodarstwie państwowym nie ma żadnej mobilizacji do wydajnej pracy. Mówię to na podstawie praktyki, jakie odbywałem w PGR-ach i SKR-ach. Pracownicy tam wynosili państwową pensję dla krów w swoich zagrodach. A krowy państwowe jakoś zdziwnie chudły w oczach. Niskie zarobki powodują wielkie zaniedbania.

MIROSLAW: — Nie można tak rozumować. Naszemu krajowi potrzebne są wszystkie trzy sektory rolnictwa:

państwowy, spółdzielczy, indywidualny. Konieczny jest nawyk rzetelnej pracy w gospodarce społecznej. Trzeba zmienić mentalność ludzi. Trzeba wychować nowego człowieka.

EDWARD: — Jestem optymistą. Dyskusja na Krajowym Zjeździe Delegatów Kolek i Organizacji Rolniczych pozwala liczyć na pewne zmiany. Na wsi nie ma lekkiej pracy, ale chyba łatwiej młodym człowiekowi — specjalistycznie wybudować lub otrzymać mieszkanie, dostać i uprawiać działkę. Na wsi można w krótszym czasie niż w mieście radykalnie podnieść swój standard życia.

ZBIGNIEW: — Jak zmierzaniujemy indywidualne rolnictwo, chłop to, co dotychczas robił w ciągu osmiu godzin — wykoną w dwie godziny. Dopiero wtedy znajdzie czas na rozrywkę, czytanie gazet, książek.

Młodzież ze szkoły w Marcinkowicach za niespełna dwa miesiące otrzyma dyplomy technika rachunkowości rolnej. Oczekuje ich praca w służbach rolnych rozmaitych instytucjach wspomagających rolnictwo. Niektórzy chcieliby samodzielnie prowadzić gospodarstwa. Ktoś powiedział wprost: „rachunkowość jest niezbędna rolnikowi, który chce pracować nowoczesnie i z głową”.

Postawione w tytule pytanie — czy leniwi uciekają do miasta? — wymaga uzupełnienia. Uciekają bowiem nie tylko leniwi. Młodzi, normalni ludzie mają świadomość, że — wiesz — tak mało do zaproponowania, a tak wiele żąda wyrzeczeń: — praca na roli jest ciężką harówką, a życie w mieście — ciekawsze; — młoda rodzina wiejska nie posiada takich przywilejów i możliwości jak miejska;

— trudniejszy jest start zawodowy młodych rolników i nadal niski prestiż społeczny rolniczego trudu; — rolnik nie jest partnerem dla instytucji działających na wsi, lecz peletonem wystającym w wielogodzinnych kolejkach;

— wiesz nie gwarantuje możliwości zaspokojenia rozbudzonych potrzeb kulturalnych, edukacji młodzieży.

WNIOSEK KOŃCOWY: same postulaty o konieczności tworzenia warunków do zatrzymania młodych, zdolnych ludzi na wsi — nie wystarczą. Pora na działania, pomyślane nie jako akt dobrej woli, lecz jako nagła konieczność ekonomiczna i społeczna. Taki jest bowiem interes całego społeczeństwa.

JERZY LEŚNIAK

minuty lotu, pięć minut, pół godziny... Jakże to dawne czasy, jakie dziś wydają się niepożorne tamte wyniki!

Dziesięć lotów, pięćdziesiąt, setka pierwsza i następnie, ciagle więcej, ciagle dalej, wyżej i dłużej. Oto były moje cele lotniarskie. Podporządkowałem im wszystko, całe moje prywatne życie.

Gazeta „Podhale” pomogła mi tworzyć właściwą atmosferę wokół lotniarstwa. Niestety nie wszystkie nasze propozycje udało się zrealizować.

Z czasem, kiedy już latałem z Kasprowego, trochę z gór mniejszych w rejonie Mszany Dolnej i w Bieszczadach, postanowiłem zrobić coś widowiskowego, co się zapamięta, co zaskakuje. Był to lot z Giewontu. Opisany szeroko, głośno.

Był szum, kręcenie z podziwu głowami, okrzyki: ryzykant! Inne mniej czy bardziej pochlebne. Były i zakazy: „nad Tatrami latać nie wolno, cierpi na tym przyroda”. Przenieśliem się więc gdzie indziej. Ale w Tatrach jednak powracałem. Odbyłem jeszcze loty z Rysów — z najwyższych szczytów polskich z lodowaniem w Roztoce, i z Czerwonych Wierchów. Zagrożono mi kolegiem i wysoką karą.

Lotniarstwo przysporzyło mi popularności w kraju i kłopotów w pracy. Kłopoty były na co dzień, sukcesy — od święta. Na zawody musiałem prosić o zwolnienie w ramach urlopu wypoczynkowego. Patrzone na to krzywym okiem. Miewałem w pracy po prostu sęki, coraz więcej seków. Ale za lot z Giewontu dyrekcja przynależała mi nagrodę z inicjatywy gazety zakładowej.

Żeby budować coraz lepsze lotnie, musiałem postarać się o pieniądze. Po pracy bawilem się w malarza pokojowego. Dobre zajęcie, byłem malarzem konkurencyjnym dla fachowców. Szybciej i lepiej — ta dewiza obowiązywała także w usługach.

Z czasem stałem się konkurencyjnym dla lotniarzy w kraju. Zaczęłem wygrywać z najlepszymi. Na międzynarodowych zawodach — też radziłem sobie coraz lepiej. Były konkurencje, które wygrałem bezapelacyjnie, były i porażki.

Mistrzostwa Polski w Bieszczadach nie udało mi się, kontuzja, zwłoknienie chorobowe, uraz do lata-

nia. Ten przeszedł szybko, bo z urazem też się da latać, tyle że ostrożnie. Latałem dalej. Odkryłem Sznokę — stary powulkaniczny stożek wydłużony z andezyt góry u progu Pienin. Ta góra to raj dla lotniarzy. Ponad pięć i pół godziny zrybowałem w powietrzu bez przerw! Zdarzył się tu jednak wypadek śmiertelny. W następstwie — zakaz latania, bo tak najłatwiej!

Latało się po cichu i ukradkiem, mniej czy bardziej nieoficjalnie. Tylko na zawodach było inaczej. Po wypadku na Nosalu przyszły nowe restrykcje. A mimo to lotniarstwo rozwijało się coraz powszechniej. Przybywało nowych konstrukcji i coraz lepszych lotniarzy.

Najwyżej w Europie cenę Węgrów. Latają bezpiecznie, elegancko. Niemcy latają dokładnie, bez ryzyka, Czesi i Słowacy — podobnie, choć na swój sposób. Ja też latałem — po swojemu. Byłem pierwszy, który oficjalnie latał we dwójkę z pasażerką. Wielka frajda, choć to konkurencja całkiem turystyczna, taki spacer we dwójkę.

Zmieniłem lotnie. Pierwszą turystyczną, krytą folią ogrodniczą, zastępowałem coraz lepszymi. Zaczęłem startować za granicą, na Węgrzech i w Czechosłowacji. Na Węgrzech latało mi się coraz lepiej, coraz wyżej, coraz dłużej. Zanotowałem kilka sukcesów, miałem też coraz więcej kłopotów w pracy. Kiedy miałem jechać na mistrzostwa Europy do Szwajcarii, niemal w przededniu wyjazdu zламаłem rękę.

W międzyczasie zaatakowałem Babią Górę. Lata się nad Babią — doskonale, kłopoty są dopiero z lodowaniem. Tu po raz pierwszy latałem tak długo i wspaniale w chmurach. Co to za uczucie! Bezpośrednio w chmurach, wśród obłoków gęstych jak dym pary wodnej, w której nie się widzi, ani ziemi, ani nieba, leci się na wyczucie i na przyrządy, które lotniarz mieć musi. Wysokościomierz było sedno mojego życia. Byłem zawsze obowiązany i koniecznie przedkościemier. Inaczej może być różnie. Można parasolować, spadać jak na parasolu bez szybkości. Tak spaść można tylko raz w życiu, wolano więc nie próbować.

Zycie nie składa się tylko z latania. Praca, to było sedno mojego życia. Byłem zawsze obowiąz-

kowy, nawet gdy sfrunąłem z Giewontu rankiem — to o 13 byłem już w pracy na drugiej zmianie i nawet nikt nie wiedział, że jestem po locie z Giewontu. Dopiero z gazety zakładowej dowiedział się wszyscy.

W zakładzie było różnie. Mówili, że jestem indywidualistą. Ze nie nadaje się do pracy w zespole. Tak chyba jest, ale kiedy pracuję w akordzie — wystarczę za cały zespół. Nie lubię się oszczędzać w niczym, jak pracuję, to pracuję. To mi daje nie mniejszą satysfakcję od wyczynów sportowych.

Mówią, że jestem człowiekiem niełatwym, niekomunikatywnym, małomównym, że bywam wyniosły, szorstki. Pewnie i taki też jestem. Gdy kogoś nie poważam, nie polubię go. To naturalne. Nie z każdym chce się wypić filiżankę herbaty, nie każdego trzeba od razu kochać. Ale zawsze jestem lojalny, a tego w naszym życiu często brakuje.

Ale wróćmy do lotniarstwa.

Jestem teraz na półrocznej rencie. Wypadek przy pracy, uszkodzenie lewej ręki, zanik mięśni i częściowo nerwów dłoni. Gdyby nie upór i ciagle ćwiczenia — byłbym inwalidą. Ale był inwalidą w moim wieku? Zwłaszcza gdy się jest lotniarzem? Ćwiczyć więc i wracam do zdrowia.

Pracuję nad nowymi typami lotni — mam nadzieję — coraz lepszych.

A kiedy przestanę latać? Mam przed sobą jeszcze tyle pięknych widoków, tyle lotniarskich problemów — i coraz mniej czasu, bo lata leci.

Lotniarstwo też nie stoi w miejscu. Lotniarze biją rekordy w przełocie i przewyższeniu, w długości lotu, a ja chciałbym wciąż w tym uczestniczyć.

Marzę mi się wysokie loty, coraz wyższe, ku chmurom. Coraz dalej i — coraz dłużej.

GALERIA TWÓRCÓW LUDOWYCH

JÓZEF BIGOS z Brzegów



Autory, zajmujący się teorią sztuki ludowej, wprowadzają niekiedy ściśle rozróżnienie między sztuką tradycyjną, a współczesną. Według nich współczesna sztuka ludowa zaczyna się wraz z pojawieniem się odbiorców pozawiejskich, którzy z biegiem czasu zajmowali

pozycję dominującą, animatorską, i świadomie naginali konwencje plastyki chłopskiej do swoich celów, niekiedy z gruntu odmiennych od celów pierwotnych. Główne zarzuty, kierowane pod adresem współczesnej sztuki ludowej, to brak konsekwencji artystycznej, roz-

dźwięk między funkcją przedmiotu, a jego formą plastyczną, nietrafne przenoszenie wzorów z jednego tworzywa na inne, eklektyzm itp.

Jak to zwykle bywa, życie nie poddaje się teorii — bo przecież snując teorię nie jesteśmy w stanie uwzględnić siły indywiduacji artystycznej, potęgi talentu. Najlepszym tego przykładem jest twórczość Józefa Bigosa.

Należy on niewątpliwie zarówno do sztuki tradycyjnej, jak i współczesnej. Ale po coś takie dywagacje? Ważniejsze, że Bigos był po prostu wybitnym twórcą. Wywarł silny wpływ na swoich współczesnych i pokolenia następne, miał dziesiątki mniej lub bardziej udolnych naśladowców. Można więc stwierdzić, że jego sztuka wciąż żyje i rozwija się, chociaż od śmierci artysty minęło już piętnaście lat.

Szczodry los dał mu talent i biedę: dwa niezbędne warunki, bez których dawny Podhalanin nie mógł stać się artystą. Los dał mu również wspaniałych przyjaciół — zwłaszcza w latach trzydziestych, kiedy wraz z żoną Wiką dzierżał schronisko w Dolinie Pieciu Stawów Polskich. Rywał tam częstym gościem Jan Sunderland — fotografik, malarz i zbieracz folkloru oraz znawca podhalańskich nut, zwany żartobliwie przez przyjaciół „Jano Mlicorz”. Dziesiątki tysięcy fotoamatorów wiele zawdzięczają przyjacielskim radom Sunderlanda, drukowanym systematycznie w „Fotografii”, a później w „Foto”. Mniej liczni znają jego „Dzieje fotografii tatrzańskiej”, książkę pełną erudycji i wrażliwości artystycznej, która zresztą do dnia dzisiejszego nie doczekała się publikacji (jeśli nie liczyć fragmentów w „Fotografii”). Wystawa obrazów nieżyjącego już Jana Sunderlanda, zorganizowana niedawno temu przez Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Targu, minęła niezauważona. Nie pokazano jej publiczności sądeckiej ani zakopiańskiej. Wielka szkoda. Nie wiadomo, kiedy przyjdzie następna taka okazja. Podhale wciąż jeszcze dłużej jest Sunderlandowi wielką przegladową wystawę jego prac malarskich i fotograficznych — z przyzwoitym katalogiem, odpowiednią oprawą itd.

Bywała też w Pieciu Stawach „Ruda Wanda”, czyli Wanda Gen-

til-Tippenhauer, która od dawna spoczywa już na Pękowym Brzuku. Również niepospolita postać, również artystka. Była towarzyszką Józefa Oppenheima, a po jego tragicznej śmierci w 1946 roku od bandyckiej kuli — opiekunką twórców ludowych i wraz z Heleną Roj-Kozłowską animatorką podtatrzańskiego malarstwa na szkle. W „Polskiej Sztuce Ludowej” 1957 nr 1 opublikowała ona cenny artykuł o Józefie Bigosie.

Takich ludzi znał Bigos wielu. Miał więc jeszcze jeden skarb, jakże potrzebny do kształcenia talentu: przyjaźń ludzi światłych, grono życzliwych, mądrych doradców. Po wojnie Bigosowie prowadzili przywatny pensjonat na Głodówce — był to pensjonat dla „lepszych gości”, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Lecz nigdy już się nie dowiemy, w jakim stopniu Bigos korzystał z rad i jak je przetwarzał.

Pewna pani doktor, wówczas młoda dziewczyna po studiach, dziś profesor Akademii Medycznej, odpoczywająca w Bukowinie, wybrała się do Bigosa, aby zamówić „coś góralskiego na pamiątkę” — zaś mnie, dwunastoletniego chłopca, wzięła za przewodnika. Kupiła wtedy dwa paski do zegarków. Długo rozmawiała z Bigosem, może dlatego, że za oknem padał deszcz, ja zaś z nudów przegladalem leżące na półce zeszyty. Bigos odbijał w nich metodą tzw. przecierki każdy metalowy przedmiot, wykonany przez siebie. A trzeba wiedzieć, że nie zrobił on dwóch identycznych spinek czy broszek — każda była inna. Ciekawe, co się stało z tymi zeszytami po śmierci artysty? Pewnie polskim obyczajem zostały ci-
nięte w piec.

Po roku pani doktor znów przyjechała do Bukowiny na lato. Ten przetarty pasek zaniosłem do naprawy — ale nie do Bigosa, lecz do sąsiada-galanterzysty. Ów miał szcancę. Dwa ruchy ręką — i sprzączka. Dwa ruchy — i następna sprzączka. Sąsiad wykroił nowy pasek, założył. Potem długo przglądał się sprzączce Bigosa, aż powiedział:

— E, fto by się tie papol z takim bđzinom.

ANTONI KROH

Fot. WŁADYSŁAW WERNER

Grafika i malarstwo Marii Gabryel-Rużyckiej

Maria Gabryel-Rużycka ponad połowę swego pracowitego życia spędziła w Gorlicach i tam powstała znaczna część jej prac plastycznych. Dzieła z zakresu grafiki i malarstwa znajdują się m. in. w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, w Muzeum Narodowym w Krakowie, w Muzeum Narodowym we Wrocławiu, w Gabinetie Grafiki wrocławskiego Ossolineum, w Muzeum Narodowym w Warszawie, w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie oraz u wielu osób prywatnych.

Szerokie informacje o artystce podaje m. in.: „Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających — malarze, rzeźbiarze i graficy”. Wrocław, 1975 r.

Maria Rużycka urodziła się 25.VIII.1905 roku we Lwowie w rodzinie inteligenckiej. Po ukończeniu szkoły średniej studiowała w latach 1925—1929 w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie do dziś w bibliotece przechowuje się 10 jej prac. W latach międzywojennych brała udział w licznych wystawach (m. in. w 1933 roku w Pierwszej Międzynarodowej Wystawie Drzeworytu w Warszawie, w 1935 wystawiała swe grafiki w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie). Odbiła kilka podróży artystycznych (m. in. do Austrii, Jugosławii, Francji, Kanady). W 1939 roku, po powrocie z Kanady, założyła rodzinę, wychodząc za mąż za prof. Stanisława Gabryela — znanego działacza kulturalnego na terenie Gorlic. Z Gorlicami związała się już do końca życia (zmarła 14.VII.1961 roku) i w swej powojennej bogatej twórczości dała dowód umiłowania ziemi gorlickiej.

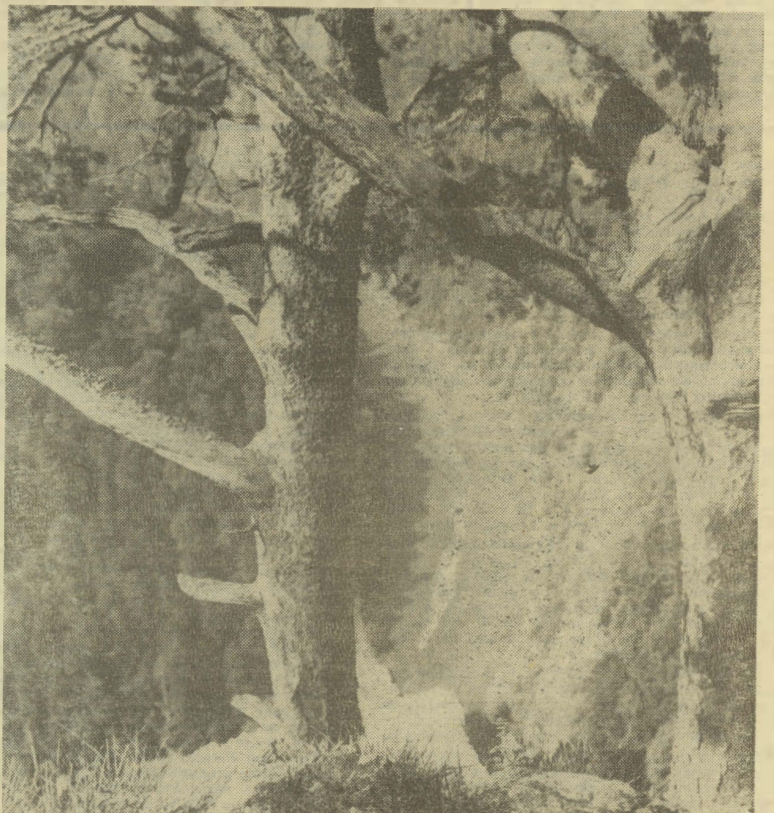
Z ziemią gorlicką związane są następujące prace Marii Gabryel-Rużyckiej:

Drzeworyty: „Wieś Ług w pow. gorlickim” (1941), „Kościół w Sekowej” (1945), „Ulica Podkościelna w Gorlicach”, „Zamek w Szymbarku” (1951), „Kościół w Gorlicach” — absyda (1951), „Ignacy Łukasiewicz 1822—1882” (1953), „Bieca — widok ogólny” (1954), „Schronisko na Magurze Małastowskiej” (1957), „Kościół i ratusz w Gorlicach”, „Rynek w Gorlicach z fasadą kościoła”, „Wesołych Świąt, Gorlice”

Tempery: „Kościółek w Sekowej” (1939), „Gorlice, ul. Waryńskiego” (1952), „Pejzaż z Ropą” (1956), „Pejzaż gorlicki” (1958), „Panorama Gorlic” (1958)

Akwarele: „Widok z Magierki na Gorlice” (1957), „Kapliczka z 1664 roku w zaułku przy ul. Krętej w Gorlicach” (1957), „Zaułek przy ul. Dąbrowszczaków w Gorlicach” (1957), „Schronisko na Magurze Małastowskiej” (1957).

MARIAN JANIGA



„Pienińska wiosna” — Fot. ANTONI KROH

Włodzimierz Pawłockiego „Spotkanie z Polską”

Chciałem utrwalić na płótnie to, co przeżyłem na wojnie — powiedział W. J. PAWŁOCKI, były żołnierz Armii Czerwonej — jak również wyrazić braterskie uczucia przyjaźni do narodu polskiego. Stale marzyłem o tym, aby odwiedzić te miejsca, które wyzwałem „spotkać się z ludźmi, którzy przeżyli wojnę i razem z nimi cieszyć się z ich osiągnięć.”

Marzenia te ziściły się w roku 1979, a rezultatem podróży Pawłockiego po Polsce jest kilkadziesiąt obrazów tworzących cykl, któremu twórca dał tytuł „Spotkanie z Polską”. Obecnie zarówno ten cykl jak i inne prace został zaprezentowany w salach nowosądeckiego BWA na wystawie zorganizowanej staraniem Wojewódzkiego Zarządu TPPR i Biura Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu.

Włodzimierz Pawłocki należy do drugiego pokolenia malarzy radzieckich. Urodził się w roku 1925 w Aszchabadzie, stolicy Turkmenii, gdzie mieszka i tworzy do dziś. Prezentuje on malarstwo realistyczne o dużym ładunku emocjonalnym, w którym anegdota zawarta w obrazach zdaje się być przede wszystkim pretekstem do uwewnętrznienia osobistego stosunku malarza do zagadnień kompozycji i koloru, do fascynacji awangardowym malarstwem francuskim początków XX wieku. Właśnie ta fascynacja jest tym, co w obrazach Pawłockiego wybiła się najbardziej i tak na przykład widzimy u niego silny, namacalny niemal wpływ malarstwa Cezanne’a, zwłaszcza w obrazach „Tyły frontu”, „Cisza” i „Jubelska starówka”. Jednak mimo cełowności brylowatych form i wyszukanego koloru uważany obserwator dostrzeże, że naśladownictwo Cezanne’a jest tu dość powierzchowne, że zawodzi artystę wycieczki kompozycji, której brak konsekwencji. Wyrażony jest też u Pawłockiego wpływ malarstwa Picassa, szczególnie z jego wcześniejszych okresów: „niebieskiego” i „różowego” oraz Medi-

giano, wyrażający się manierystycznym uwysnuieniem postaci, w ich okouturowaniu i wyraźnym skonstruowaniu w stosunku do tła („Partyzant S. Wronski”, Wanda Nurkowska — przewodniczka po Uniwersytecie Jagiellońskim”).

Ale Pawłocki nie jest bezwolnym kopiującym. Poprzez podpatrywanie mistrzów stara się znaleźć własny sposób wyrażania nastroju i przeżyć. Estetyzuje, smakuje kolor, ale często rozluźnia kompozycję, by od czasu do czasu porzucić całą kontemplację i zaskoczyć nas śmiałym zestawieniem kolorów, podrażnić agresywnością formy. Jego obrazy stają się wówczas niemal brutalne, bliskie malarstwu niemieckiego ekspresjonizmu i symbolizmowi Muncha („Przyjaciele”).

Może ktoś powiedzieć, że obrazy Pawłockiego to niemal pastisz na temat historii malarstwa zachodnioeuropejskiego początków naszego wieku. Rzeczywiście, coś jest z tego... Trzeba jednak zdać sobie sprawę z całej złożoności sytuacji, w jakiej on i inni artyści jego pokolenia tworzą. Jest on przecież artystą, jednym z tych, którzy w latach sześćdziesiątych wyzwał się spod doktrynerskich rygorów programowego socrealizmu, jak i inni, przedchodząc metamorfozę odkrywając dla siebie poszczególne etapy europejskiej sztuki awangardowej. Drogę zaś do przebycia miał długą. Wiodła ona — od stylizacji dziewiętnastowiecznych pierwowzórów, poprzez obrazy — plakaty o wydźwięku głównie agitacyjnym — do własnego rozumienia sztuki i malarstwa, do własnej twórczej osobowości. Poszukiwania i rozterki Pawłockiego mogą się wydawać nam nieco naiwne, nieco staroświeckie, lecz dla niego są jednak poszukiwaniem tożsamości artystycznej i choćby dlatego zasługują na życzliwe przyjęcie polskiego odbiorcy.

ANDRZEJ B. KRUPINSKI

Majowe Dni Kultury

Tradycyjnie już maj obfituje w bogactwo imprez kulturalnych i artystycznych. Wśród znaczących wydarzeń tegorocznych „Dni” wyminie trzeba w pierwszym rzędzie II Kongres Regionalnych Towarzystw Kultury, który obradował będzie w dniach 29–31 maja. Spotkają się na nim przedstawiciele poszczególnych towarzystw z całego kraju, dokonają oceny ich rozwoju w ostatnich pięciu latach, określą przyszłe zadania, wymienią doświadczenia.

Wysoką rangę zdobyły już Nowosądeckie Dni Literatury. Organizowane w bieżącym roku po raz trzeci w dniach 4–5 maja, połączone zostaną z obchodami 90-lecia Biblioteki im. Jana Szuskiego. Z okazji tej rocznicy warto również polecić urządzaną przez Wojewódzką Bibliotekę wystawę książek.

Na tournée po naszym województwie wybiera się zespół Filharmonii Narodowej. 13 maja artyści warszawscy koncertować będą w Zakopanem, następnego dnia — w Nowym Sączu, zaś 15 maja — w Krynicy. Tymczasem w Zakopanem przez cały miesiąc trwać będą Dni Kultury i Literatury Tatrzańskich, popularyzujące kulturalny dorobek Podhala. W programie — koncerty, wystawy, spektakle teatralne, odczyty i prelekcje. Finałem będzie przegląd zespołów regionalnych z Zakopanego i Gminy Tatrzańskich.

stanowiący zarazem eliminację do Festiwalu Góralskich w Żywcu oraz Międzynarodowego Festiwalu Polkoloru Ziemi Górskich.

Również w stolicy Tatr — 15–17 maja — odbędzie się IX Zakopianskie Konfrontacje Kabaretowe, podczas których o „Złote Rogi Kozicy” rywalizować będą najlepsze amatorskie zespoły z całego kraju.

W Nowym Targu przez cały miesiąc odbywać się będzie prezentacja dorobku twórczego artystów-plastyków pod hasłem „Spotkania ze sztuką — Nowy Targ 81”.

Lącko zaprasza w maju na tradycyjne „Święto Kwitnącej Jabłoni”; Piwniczna — na plener fotograficzny „Nasza ziemia i my”. W Rabce, w dniach 29.VI–1.VI, odbędzie się VII Karpacki Festiwal Dziecięcych Zespołów Regionalnych, w których przewiduje się również udział najmłodszych artystów spoza granic.

Na koniec jeszcze wspomnieć warto o niektórych ekspozycjach. I tak Galeria Biura Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu zaprasza na wystawę malarstwa Henryka Piódnickiego, zaś Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem — na wspólną ekspozycję rzeźby Jana Śmigacza i malarstwa na szkło Teresy Śmigacz. Natomiast w Orawskim Parku Etnograficznym w Zubrzycy czynna będzie przez cały maj wystawa pn. „Muzea podtatrzańskie”.

Zaprosili nas

• Związek Polskich Artystów Plastyków, Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu, Galeria w Zakopanem na otwarcie wystawy malarstwa, rzeźby, tkaniny i grafiki członków zakopiańskiego okręgu ZPAP;

• Dyrekcja Muzeum Lenina w Poroninie na otwarcie wystawy „Lenin w sztuce podhalańskiej”;

• Zarząd Miejski Ligi Kobiet w Nowym Sączu na uroczyste posiedzenie plenarne z okazji 35-lecia Ligi Kobiet;

• Przewodniczący Rady Narodowej miasta i gminy w Muszynie na XVIII sesję Rady Narodowej.

Wygląda na to, że Sydney Pollack pozuje na wyzielenia „sumienia Hollywoodu” naszych czasów. Byli takimi poprzedzili King Vidor w latach dwudziestych (pacyfistyczna WIELKA PARADA, antykapitałistyczny CZŁOWIEK Z TŁUMU i promurzyński DUSZE CZARNYCH, William Wyler po II wojnie światowej) (NAJLEPSZE LATA NASZEGO ŻYCIA) i Fred Zinnemann w czasie zimnowojennych połowań na czarownice (W SAMO POŁUDNIE). Potem coś uciekło. Może dlatego, że amerykańskiego sumienia nie szukano już w fabryce kinowych snów, lecz w miasteczkach studenckich. Zresztą Hollywoodu o mało udało się nie wzięli: oglądając bzdury produkowane przez starsze pokolenie, do głosu doszło kino niezależnych producentów, połowa potentatów filmowych z Kalifornii zbankrutowała i minęło parę dobrych lat (1970–1975), zanim wielki ośrodek zaczął znów królować, już z innymi ludźmi u steru.

Pollack był jednym z nich. Wyedukowany w telewizji, wszedł do kina amerykańskiego w czasie jego przełomu i okazał się Człowiekiem Którego Potrzeba: lewicowym humanistą, który potrafi być równocześnie intelektualny i potężnie sentymentalny. Ołbrzymie powodzenie zdobył filmem CZYŻ NIE DOBIJA SIĘ KONI, rozdzierającą tragedią z epoki Wielkiego Kryzysu przedwojennego, wymierzoną — właśnie, właśnie — w przemysł rozrywkowy, żerujący na ludzkim nieszczęściu. Wcześniej zrobił jeszcze antyrasistowski protest w obronie Indian: ŁOWCOW SKALPÓW. Później jego dziełami były: broniący idei nieskądzonej przyrody JEREMIAH JOHN-SON, oskarżenie amerykańskiej prawnicy w czasach zimnej wojny TACY BYLIŚMY, wreszcie — TRZY DNI KONDORA, demaskująca praktyki działania amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej,



Szpiegostwo hipermakiaweliczne

czyli CIA. Nie wymieniam wszystkich filmów Pollacka, ale ta piątka plus jego najnowszy ELEKTRYCZNY JEZDZIEC (znów pamflet na Amerykę krytykującą w natworniczych reklamach) wyraźnie chyba ujawnia program reżysera: ostro pokazać co złe, wstrząsnąć, spowodować pragnienie naprawy. A więc — sumienie Hollywoodu?

Niezupełnie. Owszem, wydawałoby się, że Pollack-sentymentalny idealista jest wręcz stworzony do tej roli w Ameryce, nationie wierzącej w pryncypium demokracji. Tylko że Ameryka przestała się podawać sentymentem, ciepłemu magazjstwu, wszystkiemu, co traci każdoraziej: bo te właśnie cechy określały mentalność dobrze urządzonych czcicieli dolara, których poddala moralnemu osądowi kontestacja. Więc Pollack wygląda trochę staroświecko, choć mu jeszcze daleko do pięćdziesiątych. Teraz liczy się nie lekka, lecz brutalna konkret, nieufność wobec wszelkich hasel, przekonanie, że każda władza posługuje się manipulacją, kłamstwem, bezlitosnym niszczeniem przeciwników.

Tym nastojem jest bliski właściciel tylko jeden film Pollacka: TRZY DNI KONDORA. Pochodzi z roku 1975, z okresu, kiedy Stany przeżywały krach wyobrażeń o po-

siadaniu najlepszego porządku społecznego na tej ziemi. Wietnam, Watergate, ujawnienie prawdy o działalności FBI i CIA spowodowały całkowity brak zaufania do rządu i głębokie poczucie konieczności naprawy (na tej fali wybrana nowotwórczego do dawnych enót Cartera; skutek okazał się mizerny). Kino amerykańskie poczęło się zajmować śledzeniem korzeni hipermakiawelizmu, czyli amoralnych podstępów władzy i mafii, które powodują szerzenie się totalnego zła i niczem już być służące nie mogą, bo obopólna gra bez żadnych reguł nie pozwala osiągnąć żadnego celu.

Dlaczego TRZY DNI KONDORA są trochę wyjątkowe u Pollacka? Bo przedstawiają bardzo żywą, bardzo sensacyjną akcję, a w galopie trudno złapać oddech dla moralizowania i poddania się sentymentom. Film opisuje rozgrywkę na zapleczu organizacji szpiegowskiej: bezlitosne walki frakcyjne, likwidowanie wszystkich niepewnych ludzi, pozbywanie się każdego, kto za dużo wie, choćby wiedział właśnie dlatego, że mu to zlecono. W obrazach szpiegowskich dawnego typu obowiązywała fikcja przedmiotowa: bohaterem był agent numer jakiś tam w nieokreślonej organizacji z kraju X. Tu fikcja dotyczy tylko szczegółów rozwoju akcji, natomiast

państwo i organizacja są jednoznacznie określone zarówno w książce, która była pierwowzorem (wydane u nas „Sześć dni Kondora” — Jamesa „Gradyego”), jak i na ekranie: chodzi o CIA. Szereg szczegółów wywodzi się z raportów Komisji Senackiej, która badała działalność amerykańskiego wywiadu. Zatem: z filmu Pollacka można się dowiedzieć wiele o tym, jak naprawdę wyglądała od środka technika, praktyka i moralność amerykańskich służb specjalnych.

Ale TRZY DNI KONDORA nie są głównie opowieścią o systemie, lecz o człowieku w tym systemie. O uczelnym człowieku, który musi podjąć indywidualną, pełną determinacji akcję przeciwko znanemu mu tylko wytyczkom organizacji. Musi uciekać przed śmiertelnym zagrożeniem, a równocześnie rozpoznawać mechanizmy „na górze”, bo tylko to pozwoli mu ocalać. Pełen napięcia film jest równocześnie obroną racji humanistycznych bohatera — i w tym zakresie Pollack jest właśnie wierny sobie: wierny ideałowi człowieka protestującego przeciwko złu społecznemu.

Zamiar podzielić się w pełni, także dzięki Robertowi Redfordowi w roli głównej — znakomitemu aktorowi i, jak się ostatnio okazało, również inteligentnemu twórcy (ZWYKLI ŁUDZIE, jego debiut reżyserski, zdobył w ostatnim konkursie „Oscarów” najwięcej nagród). Pollack znany jest zresztą z tego, że wybiera najlepszych aktorów i daje im wygrać swe role (wspomnijmy choćby Jane Fonda z CZYŻ NIE DOBIJA SIĘ KONI, albo Marthe Keller i Al Pacino z BOBBIEGO DEERFIELDA). Gdyby zawsze chciał reżyserować w ten sposób, ufając że temat i aktor wystarczą, że należy wystrzegać się czułości i dydaktyki... W naszych gwałtownych czasach nie trzeba, niestety, wbić ludziom do głowy tego, co i tak jest jaskrawo widoczne.



„Chciałbym żyć jeszcze tyle na świecie — powiedział pewnego razu DOMINIK MALINOWSKI — bym mógł nauczyć mojego wnuka, że nie powinien nigdy szukać żadnych zysków, bogactw czy majątków, jeno przeżyć swe życie uczciwie, tak aby nikomu nigdy krzywdy nie wyrządzić, tylko żeby zawsze szła ku niemu ludzka życzliwość. Majątku wystarczy mieć tyle, by człowiekowi było dobrze według jego stanu. A najważniejsze — to być CZŁOWIEKIEM”.

Pan Dominik sam stanowi piękny wzór. Mądry, prawy, wrażliwy, pracowity. Zna go dobrze w Szczawnicy, zna go szeroko poza rodzinną miejscowością.

Niejedną przegadaliśmy godzinę, niejedną wieczór. Mogę go słuchać bez końca, tyle w jego słowach piękna, mądrej siły i prawdy. Z wielu, bardzo wielu notatek, z taśm magnetofonowych wybrałam garść wspomnień, refleksji, myśli Pana Dominika, aby utrwalić choć okrusz bogactwa, jakie nagromadził w swym życiu stary szczawnicki góral.

ELŻBIETA GLINKA

OPowieść DLA WNUKA

Ród nasz pochodzi z wyzniesionego końca wsi, z Malinowa. Ród stary, bo już z końcem XVI wieku Malinowski był wojtem Szczawnicy. Zapisane jest to w dokumencie, gdyż wspominał się o jakimś sprawcy Szczawniczana na czorsztyńskim zamku, w starostwie, i tam go pobito; z pokoleń na pokolenie opowiadano w rodzinie, jak to było.

Jan Malinowski, autor „Wesela”, też jest z naszego rodu, ale to bardzo dalekie pokrewieństwo.

Mój dziad był drugim człowiekiem ze Szczawnicy, który pojechał do Ameryki. Było to w połowie XIX wieku.

Matka pochodziła z domu Węglarzy — przydomek Packa. Dziadek po matce był człowiekiem światłym, znanym we wsi. Baczował na polanie na Białonce. To baczowanie go zabiło. Tak, tak. Miał pod opieką 350 owiec — wielka to odpowiedzialność! Zszedł raz na dół, by pomóc żonie we żniwach, a jego zastępca — zwany powarem, bo warzył żętyce — dogadał się ze zbojami i z Jaworem ukradł wołu. Przeprowadzili na koszar, zarżnęli — a ich śladem poszli właściciele, sprowadzili z Czorsztyna żandarmów. Związali juhasów w kij (myślę, że Sienkiewicz, który słyszał tę historię w Szczawnicy, wykorzystał ją w scenie ze związanym do szabl Zagiobą), zabrali. Dziadek, jak się o tym dowiedział, pędził do owiec, które zostały same, a że nie młody już był, chłop silny i ciężki, zmęczony się, pochorował i za parę tygodni zmarł.

Mój ojciec, Franciszek, miał 49 lat, gdy w 1914 roku poszedł na austriacką — pierwszą światową — wojnę; już z niej nie powrócił. Zostaliśmy sami w domu z matką — ja i dwóch młodszych braci Józka i Jasiek, dzieci zupełnie. Miałem dziewięć lat, a już musiałem zastąpić w ciężkich chłopięcych robotach ojca. To było moje dzieciństwo, moje wychowanie. Matka nie miała dla nas czasu; musiała robić na gruncie ciężko, żeby nas wychować, bo innego zarobku — takiego jak teraz — nie było. Żyło się tylko z gruntu.

Uczyłem się gospodarzenia w najtrudniejszym okresie — wojennym. Wszystkie szczawnickie dzieci wtedy bardzo ciężko robiły, bo ojcowie i starsi bracia byli na froncie. Zostali tylko kobiety z dziećmi i starcy. Gdzie jeszcze taki starzy, po sześćdziesiątce, chłop był w domu, gospodarka szła nieźle, ale gdzie takiego dziadka brakowało, tam długo gospodarza kulała. A z naszej rodziny wszyscy poszli na wojnę.

Robić trzeba było ciężko. Gruntu

mało i mało wydajny, gospodarza brak... Dopiero jak podrosłem, zacząłem lepiej gospodarzyć.

Ziemni — jak na szczawnickie stosunki — mieliśmy niby nie mało, bo wszystkiego osiem hektarów, z tego trzy i pół hektara pola ornego, rozrzucone w 32 kawałkach! Dziś rozdzielone to jest na trzy części — bracia wzięli większe, bo grunt, a ja plac pod budowę.

Co uprawialiśmy? Najwięcej siało się owsa i jęczmienia, hodowało owce. Żyła mało, tyle żeby dla siebie na chleb. Jak już nabyliśmy owce, zaczęło się nam lepiej powodzić. Szczególnie ja byłem rad, bo przy owcach siedział się na halach, tam nocowało. W górach, miałem wreszcie czas odetchnąć, pomyśleć. A te moje myśli inne były niż dzisiejszych dzieci, którym tylko zabawa w głowie. To, że w dziewiętnym roku życia musiałem zacząć zajmować się gospodarką sprawiło, że wcześniej zacząłem też myśleć o życiu, o jego poważnych problemach.

Wyszedł na górę — była to jedyna moja przyjemność przy ciężkiej, ponad siły dziecka, pracy. Bo tam, na górach, była prawda i sprawiedliwość. Nigdzie takiej prawdy i sprawiedliwości nie można było znaleźć jak właśnie w lesie i na górach. Tam nikt nigdy — żaden smerek, ani góry, ani słońce — nigdy człowieka nie okłamywał ani podstępnie na człowieka nie działał. Więc jak mi ludzie dokuczali, gdym jakkolwiek zmartwienie miał, to uciekałem w góry i tam się otęszalem ze wszystkiego i tam nabierałem lepszego do życia stosunku.

Chciałbym jeszcze swojego wnuka zaprowadzić kiedyś na hale, i wierzchy, i do lasu — i chciałbym, żeby takie do nich zamilowanie i do góralskiego życia miał jak ja. Choć nie pragnę, żeby czas się cofnął, nie żeby napróżd szedł, to chcę, by Piotr swoje go góralskiego pochodzenia nigdy się nie wyrzucił.

Wiele miałem pracy, prawda, ale przecież to i owo służyło się o sprawach wsi, o tym, że Szczawnica rozwija się jako uzdrowisko. Takie opowiadania to była jedna z nielicznych rozrywek ludzi tutaj. A w naszym domu sporo mówiło się o właścicielach wsi — Szalayach — bo dziadek był u nich niegdyś gajowym i swój grunt od nich dostał jako zapłatę.

Szalay był to węglerski szlachcic, który kupił dwór szczawnicki i stał się właścicielem twórcą szczawnickiego uzdrowiska, choć już jego poprzednik — niejaki Kuczer — wstawił pierwszy kadiubek drewniany na miakach, gdzie są źródła wód „Magdalena”, „Józefina”, „Stefana” i „Waleria”. Dziewczyna ze wsi przez całe lata stała tam, czepała wodę dzbankiem i lała kuracjuszom. Ale dopiero syn Szalaya, Józef, student, który znał się z pierwszym w Polsce specjalistą od wód mineralnych, Dietlem, pobratł problem szczaw-

nickich wód i posłał do analizy do Wiednia. Na podstawie tej oceny stary Szalay — Stefan — zaczął myśleć o rozbudowie uzdrowiska. Gdy zmarł, dzieła tego dokonał Józef. Jakże on uzdrowisko wybudował, jakie jest do dziś. Przybyło tylko inhalatorium.

Dziadego tyle mówię o Szalayach i uzdrowisku? Bo to właśnie przyniosło duże zmiany w życiu mieszkańców wsi. Już nie utrzymywali się tylko z gruntu, ale znaleźli nowy — łatwiejszy — zarobek przy kuracjuszach. Albo jako obsługa w Zakładzie Zdrojowym, albo wynajmując pokoje. Wtedy też powstały owe znaki — przydomki tutejszych gospodarzy: spod Anioła, spod Serca... i inne. Bo we wsi było kilka tylko rodów, więc nazwiska wciąż się powtarzały. Niżni koniec wsi to byli sami Węglarze, a zaś wyżej — sami Majerczaki; tych Węglarzy było dużo, tych Wierciochów dużo, Gabrysów dużo, więc jakże trafić z kłosem? No i Szalay wymalował tablice. Na Węglarzach, którzy byli najnieposłusznijszymi ludźmi we wsi, zamieścił się tak, że jednemu dał Smoka (odtąd dom ten nazywało się „Pod Smokiem”), drugiemu Węża, innemu Goryla. Słowiki z Niżniej Szczawnicy dostali tablicę „Pod Dzwonem”, bo byli to ludzie, którzy dużo opowiadali, dużo wiedzieli — mówili właśnie jak dzwon. A na dom, skąd pochodził ród mojej Matki, wymalował Szalay tabliczkę „Pod Srebrnym Orłem”, bo dobrane z tą rodziną żył.

Te tablice zostały przed kilkoma laty, w związku z Bankiem Miast, odnowione i uroczystość od nowa zawieszono; szliśmy korowodem, z muzyką; mój brat Jasiek śpiewał każdemu przypięwkę na temat związany z tabliczką.

Synowie Józefa Szalaya to byli trochę niepocie, więc on martwił się, co będzie po jego śmierci z uzdrowiskiem. Wreszcie umysłił sobie, żeby je oddać narodowi polskiemu i zapisał Akademię Umiejętności. Ale Akademia nie miała z tego nic poza kłopotami i sprzedała Szczawnicę — wbrew testamentowi Szalaya — hrabiemu Stadnickiemu z Nawojowej. W jego rękach uzdrowisko pozostało aż do chwili upaństwowienia po drugiej wojnie światowej. Dopiero wówczas wypelnili się testament Józefa Szalaya.

Wszystkie zmiany w Szczawnicy dokonywały się jednak bardzo wolno — za moich młodych lat postęp szedł bardzo wolnym krokiem. Mało co się zmieniano; tak mało, że nie można było w ciągu jednego ludzkiego życia zauważyć tych zmian. Jak dziadowie i ojcowie robili na roli, tak się dalej robiło. Jak się ojciec ubierał, tak się ubierał syn. Jak mówił i chodził do szkoły ojciec, tak i syn. Dopiero po pierwszej wojnie światowej wszystko nabrało tempa. Wzięło się to — przyrzekam gości — Szczawnica nabrała własności, dochoodu było od kuracjuszy coraz więcej, zarobków było

więcej, ludzie prędzej mogli poznać swoje życie podnieść. Ten postęp dość szybko się zaczął dokonywać.

Przecież ja sam pamiętam pierwszą auto, jakie przyjechało do wsi. Wszystkie, nawet z pół, z daleka, biegły zobaczyć taki wóz, co idzie bez konia! Było to jeszcze przed pierwszą wojną; Jurij Słowik, właściciel sklepu i tego domu, gdzie dziś jest restauracja „Palenica”, przywiózł autem z Budapesztu narzeczoną. Jak wyjeżdżał, to ile nas tylko było dzieci — starszych i młodszych — lecieliśmy za tym autem, albo i przed nim, aż do Niżniej Szczawnicy, tam gdzie Kotońka leży w Dunajcu.

Później, już po wojnie, miała więc swe pierwsze auto, gdy Zydział złożyli spółkę i zaczęli wozić gości. To ich auto miało kola kute żelazem...

A potem już postępek leciał na łeb na szyję.

Przynosił gości zmiany, ale trzeba im oddać sprawiedliwość, że na przykład dzięki nim nie zaginął stary strój szczawnicki.

Po wojnie, tamtej wojnie, ubrania góralskiego w ogóle nie było, tak że kiedy chcieliśmy się ubrać na jakąś uroczystość, ledwie dwie guńki znaleźliśmy w całej wsi. Wszystkie ludzie wyszli na kape, bo w czasie wojny nie było ani butów, ani skór. Wojna wyniszczyła kraj. Ale po wojnie, z musu, ludzie znów się chwycili hodować owiec i znów zaczęli robić sukna, szyc z nich ubrania — po staremu. Choć niejedną wolalbą już ubrać się z miejską, jak goście. Gdy jednak kuracjusze zobaczyli nasz strój, zaczęli go bardzo chwalić. I tak jak z powodu gości przedtem zagubili się szczawnicki ubiór, tak później dzięki nim ożył. I tak było do ostatniej wojny, zwłaszcza że i władze uzdrowiska dbały o to, by obsługa ubierała się po góralsku. Dopiero teraz staje się coraz rzadszy, bo jest drogi i mniej wygodny niż kupny, a i ludzie gonili za postępkem, co szedł tak szybko naprzód, że nie mogli za nim nadążyć myślą i przekonaniami, i zwyczajami, które dawniej były niezbędne do życia.

Strój góralski, niestety, zanika dziś tak samo jak wszystko inne: obyczaje, obrzędy, mowa, muzyka. Trochę przywracają je do życia Związki Podhalańskie, ale czy im się to uda? W Szczawnicy jest jeszcze jeden jedyny kuracjusz, co potrafi portki sukienne szyc, ale ma już siedemdziesiąt osiem lat i gdy umrze, kto jeszcze góralski strój? Kamizelki to jeszcze dziewczęcy haftują, ale portek ze sukna nie sziją dziś nikt.

Nasz Piotr ma piękny szczawnicki strój; matka mu uszyła i jest z niego bardzo dumny. Czy jednak za dziesięć — piętnaście lat też tak będzie? Po góralsku się ubierze? Czy będzie miał w co? I czy potrafi zaśpiewać na szczawnicką nutę, czy zechce śnić opowieści o dawnych szczawnickich ludach i obyczajach?...

W wąskiej przełęczy, oddzielającej od siebie wyniosłe i szalenie zalesione masywy Cwilina i Śnieżnicy, na wys. około 680 m n.p.m. leżą trzy niewielkie osiedla: Do Wrony, Miśkowice i Granice, administracyjnie należące do wsi Gruszowiec. Przebiega przez nie szosa Limanowa — Mszana Dolna, ważna dla układu komunikacyjnego. Jej odcinek, przechodzący przez Gruszowiec był w czasie II wojny światowej miejscem wielu zasadzek partyzanckich na samochody i transporty niemieckie. Sprzyjały temu warunki topograficzne: droga płała się w górę ostrymi serpentynami i była z obu stron osłonięta ścianą lasu, co zapewniało atakującym bezpieczny odskok w masyw Śnieżnicy lub Cwilina. Niemcy co prawda kazali wyciąć po obu stronach drogi szerokie pasy lasu, ale wcale to nie zmniejszyło aktywności różnych grup partyzanckich na tym odcinku.

Ataki na przejeżdżających przez Gruszowiec Niemców były bezsprzecznie głównym powodem makabrycznego mordu, dokonanego przez hitlerowskich zbirów na bezbronnej ludności cywilnej tych osiedli. Ci, co przeżyli, jako drugi powód podają doniesienie mówiące o współpracy wsi z partyzantką, jakie do władz okupacyjnych złożył jeden z przydzielonych tutaj na kwatery wysiedleńców z Warszawy.

1 listopada 1944 r. Dzień Zaduszny. Spokój, poważna atmosfera, ludzie przygotowują się do pójścia na groby najbliższych.

W godzinach popołudniowych szosą od Limanowej nadjeżdża kulka niemieckich samochodów, z których wyskakują hitlerowcy i tyraliera ustawiają się wzdłuż drogi. Wataha rusza, dopada najpierw zabudowań Antoniego Czyrnka, gdzie skurczat wiejskim wyczajem zebrał się na pogawiedkę chłopcy z innych chałup. Wszystkich wygnano przed dom, ustawiono w szeregu i rozstrzelano z karabinu maszynowego. Zaraz po tym cała zagroda stała się w płomieniach — wewnątrz żywcem płoną kobiety i troje dzieci. Dwóch mężczyzn uciekło do piwnicy i podczas pożogi udusili się od dymu. W pośrodku zwęgliły się zwłoki rozstrzelanych; niektórych rozpoznano później tylko po częściach ciekry.

Ogień obejmuje również sąsiednią zagrodę Józefa Kuchty — ginie gospodarz wraz z rodziną, dalej płonie obejście Szymona Dudzika — tutaj ginie czworo ludzi, w tym jeden mieszkaniec Kasiny Wielkiej — Jan Kubowicz, który przyszedł do znanego w okolicy kłodzieja zamówić nowe koło do wozu. Zwegłone części ciała, wrzucone do piwnicy znalazł dopiero po wojnie. Z rodziny Dudzików uratowała się tylko jedna córka, która pognęła bydło na pastwisko oraz syn Jan, który w 1942 r. został wywieziony na roboty do Niemiec.



Dalej na osiedlu Wronie płoną jeszcze dwie zagrody; szczęściem tu nie ma ofiar w ludziach. Wiedzielną rodzinę Wiktorii Sułkowskiej uratował... list, który akurat pisała do męża, wywiezionego

Jan Wielek

Pacyfikacja wsi Gruszowiec

przynusowo do Rzeszy: zdołała wykazać Niemcom, że jej dom nic z partyzantką nie ma wspólnego. Ogień zagłady przenosi się teraz do osiedla „Granice”. Mordercy zaskoczyli mieszkańców zajętych pakowaniem co cenniejszego dobytku. Wszystkich zagnano do domu Anny Kubowicz, do środka wrzucono kilka granatów, zaś całą zagrodę podpálono. Cudem uratował się tylko szesnastoletni wówczas Jan Drag, który wyrwał się Niemcom i skoczył w niegłęboką przykopy. Mając osłone od kul karabinowych zdołał szczęśliwie dobiec do zalesionego potoku, płynącego pod stokami Śnieżnicy

ey i skrył się przed pogoń pod korzeniami starych buków. Po latach zeznał przed Komisją do Badania Zbrodni Hitlerowskich:

W dniu 1 listopada 1944 roku około południa moja matka wróciwszy z Dobrej zawiadomiła, że Niemcy jadą pościkiem i strzelają. W chwili po tym nadjechały auta niemieckie z wojskiem, które z pościka zaczęło strzelać do naszych domów. Niedługo a do naszego domu wpadło sześciu uzbrojonych Niemców, którzy kazali nam wszystkim iść do następnego domu, w którym mieszkał Wojciech Kubowicz. Pod eskortą szła wówczas moja matka, ja i trzy siostry — najmłodsza miała 4 lata, średnia kulawa, która liczyła sobie wówczas 9 lat (nieśmiała na rękach) i najstarsza, która miała 17 lat oraz dwóch braci: jeden miał dwunastkę a drugi dwa lata. Gdy znalazłem się przed domem Wojciecha Kubowicza porzuciłem siostrę, którą nieśmiało, a sam uciekłem w kierunku potoku. Niemcy zaczęli za mną strzelać i rozpoczął pościg, ale szczęśliwie mnie nie dogonili... Wróciłem po odjeździe Niemców... dom Wojciecha Kubowicza jeszcze się palił — a wszyscy, którzy się w nim znajdowali, już nie żyli. Ojca mego zastrzelili Niemcy tego samego dnia.

Łącznie na osiedlu Wronie zginęło 20 osób i zostało spalonych pięć zagród, na Granicach zaś w jednym domu zamęczono 12 osób. Mieszkaniec tego osiedla — Andrzej Jakubiec — zastrzelony został koło drogi przez oficera w chwili, gdy znajomy żołnierz niemiecki usiłował przekonać swego

przełożonego, iż on nie należy do partyzantki. Spalone tu zostały cztery zagrody, na osiedlu Miśkowice od pocisków zapalających zajęły się i zgorzały obejścia Szymona Miśkowca, Jana Myconia i Szymona Jordana — ofiar w ludziach jednak nie było.

W 1968 roku, dla uczczenia pamięci pomordowanych wzniesiono przy gruszowieckiej drodze obelisk, na którego tylnie ścianie umieszczono kamienną tablicę z prostym napisem, wykonaną przez domorodnego kamieniarza — mieszkańca tego osiedla, zawierającą pełną listę 31 ofiar opisanej wyżej pacyfikacji...

Abuszowie mieli w Rabce, w rynku, sklep z artykułami żelaznymi, który chętnie odwiedzałam. Lubiliam grzeczną obsługę, zaś Abuszowa, młoda mężatka, była szczególnie sympatyczna. Witła mnie z uśmiechem, lubiła pogawędzić mając zawsze coś ciekawego do opowiedzenia. Choć pobrali się przed kilkoma laty, nie mieli jeszcze dziecka i bardzo się tym martwili.

Któregoś dnia, gdy zaszłam po zakupy, przywitała mnie zwykłym uśmiechem.

— Nie widzieliśmy się już dawno — powiedziałam. Co słychać? Czy nadal nie doczekaliście się potomka?

Skłoniła głowę ze smutkiem. Poczułam się nieswojo: nie powinienam była

terowiec zastrzelił jej męża. Los wszystkich Żydów był już zagrożony. Brakowało żywności.

— Ale dziecko jest zdrowe?

— Tak, jeszcze jest zdrowe, schowałam dla niego żywność, ale na jak długo wystarczy? Pani nie widziała mojego synka. Proszę wejść do pokoju, proszę popatrzeć na niego!

Na małym taborecie, przy niskim stoliku siedziała skulona drobinka. Główna dziecka była pokryta srebrzystymi łokami. Zachwyciły mnie.

— Jakie śliczne? — powiedziałam cicho.

— Prawda, że on jest piękny? — zawołała matka z dumą i czułością. — A jaki mądry! Lubi oglądać książeczki i rysować, i pisze po swojemu, a ma

Janina Zaborowska

ŻYDOWSKIE DZIECKO

poruszać tego tematu. Wiedzielałam, że Żydzi brok dziecka uważali za depust Boży.

— Powinna się pani leczyć... — Leczyłam się, byłam w ciąży, ale nie donosiłam — odparła z rezygnacją.

— Nie trzeba się zalamywać. Jest pani młoda i doczeka się, tylko trzeba wtedy uważać i nie dźwigać ciężarów...

Uśmiechnęła się blade. — Dziękuję za dobre słowa — powiedziała. — Pani jest dla nas, prostych ludzi, zawsze taka uprzejma. Proszę o nas nie zapominać i przychodzić nie tylko do sklepu, ale i do domu.

Zawsze jednak coś mi przeszkadzało w wizycie u Abuszów. W rok później dowiedziałam się, że urodził się synek. Minęły dalsze dwa lata.

Wybuchła wojna. Wielu Żydów Niemcy zamordowali, pozostali nosili teraz białe opaski z niebieskimi gwiazdami. Likierzyki poostwierali na nowo sklepiki pracownicze rzemieślnicze.

Nareszcie kiedyś zaszłam do Abuszów. Sklep zastałam zamknięty, zakułam więc do drzwi mieszkani. Otworzyła m. Abuszowa, a w oczach jej malowała się twoga.

— To pani, a ja bałam się... Proszę wejść, proszę wejść... Załkła.

— Co się stało?

Słuchając, mówiła o tragedii, którą ją spotkała. Kilka dni wcześniej hi-

terowiec zastrzelił jej męża. Los wszystkich Żydów był już zagrożony. Brakowało żywności.

— Ale dziecko jest zdrowe? — Tak, jeszcze jest zdrowe, schowałam dla niego żywność, ale na jak długo wystarczy? Pani nie widziała mojego synka. Proszę wejść do pokoju, proszę popatrzeć na niego!

Na małym taborecie, przy niskim stoliku siedziała skulona drobinka. Główna dziecka była pokryta srebrzystymi łokami. Zachwyciły mnie.

— Jakie śliczne? — powiedziałam cicho.

— Prawda, że on jest piękny? — zawołała matka z dumą i czułością. — A jaki mądry! Lubi oglądać książeczki i rysować, i pisze po swojemu, a ma

terowiec zastrzelił jej męża. Los wszystkich Żydów był już zagrożony. Brakowało żywności.

— Ale dziecko jest zdrowe? — Tak, jeszcze jest zdrowe, schowałam dla niego żywność, ale na jak długo wystarczy? Pani nie widziała mojego synka. Proszę wejść do pokoju, proszę popatrzeć na niego!

Na małym taborecie, przy niskim stoliku siedziała skulona drobinka. Główna dziecka była pokryta srebrzystymi łokami. Zachwyciły mnie.

— Jakie śliczne? — powiedziałam cicho.

— Prawda, że on jest piękny? — zawołała matka z dumą i czułością. — A jaki mądry! Lubi oglądać książeczki i rysować, i pisze po swojemu, a ma

Turcja

„ZEOLITOWA ŚMIERĆ“

Od kilku generacji mieszkańcy tureckiej wioski — Karain są bezsilnymi świadkami choroby i zgonów swoich siostr, braci, rodziców i dzieci wskutek nieznannej zarazy, czyniącej straszliwe spustoszenie wśród miejscowej ludności. Dotknięte dziwnym schorzeniem osoby ginęły zaledwie w ciągu 2 lat. Przez wiele lat choroba świdowała swe triumfy, zabierając coraz to nowe ofiary.

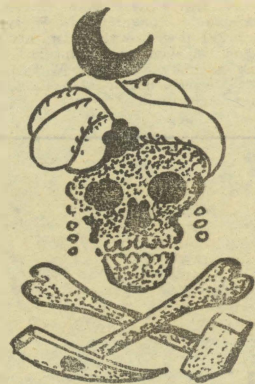
Przed sześciu laty dzięki intensywnym pracom badawczym oraz kontroli środowiska i najbliższej okolicy, zdołano zidentyfikować tajemniczego „zabójcę” oraz źródło jego pochodzenia. Zespół ekspertów Światowej Organizacji Zdrowia ustalił, że mieszkańcy nieszczęsnej wioski cierpią na tzw. maligną pleural mesothelioma — niezwykle złośliwą formę nowotworu, występującą zazwyczaj u osób mających kontakt z azbestem. Badania ekspertów z Kliniki Chorób Dróg Oddechowych w Ankarze wykazały, że przyczyną choroby jest sąsiedztwo kamieniołomów, zawierających rakotwórcze minerały. Ustalono, że liczne przypadki zachorowań związane są z obecnością zeolitu, znajdującego się zarówno w powietrzu, którym oddychają mieszkańcy wioski, jak i w ścianach domów.

Bladożółta skała, dostarczająca mieszkańcom wioski materiału budowlanego zawiera rakotwórczy minerał. Wykryto wysoki wskaźnik zachorowań na raka również w wielu pobliskich miejscowościach. Karain jednak nadal wypierała pod względem wskaźnika śmiertelności sąsiednie wsie. W ubiegłym roku ofiarą nietypowego nowotwora padło 17 osób.

Choroba jest nieuleczalna i można jej zapobiec tylko przez ewakuację ludności z zagrożonego obszaru. Groźny nowotwór atakuje zazwyczaj po 20—25 latach stykania się z zeolitem; zaledwie dwa lata wystarczy na uśmiercenie człowieka. Większość osób, zmarłych w okresie ubiegłych kilku lat, stanowiłi ludzie mający niewiele ponad trzydzieści lat.

Władze rozważają więc projekt przeniesienia mieszkańców wioski do innych miejscowości. W okresie poprzedzającym 5 lat wieś znacznie opustoszała,

jej ludność zaś zmniejszyła się o kilkadziesiąt osób. Pozostali uważani są przez mieszkańców sąsiednich miejscowości za „trędowatych” i coraz trudniej im o zbyt wytwarzanych produktach, których nikt nie chce kupować z obawy przed zarazą. Kobiety z Karain, słynące z pracowitości, ongiś poszukiwane jako żony, od pewnego czasu nie mogą znaleźć kandydatów na mężów w pobliskiej okolicy.



Czy można uciec od zeolitowej śmierci? Znany jest przypadek trzech przyjaźniaków szkolnych, urodzonych w 1945 roku, którzy wraz z rodzinami opuścili Karain w wieku 12 lat. Jeden z nich został kapitanem armii, drugi farmaceutą, zaś trzeci nauczycielem. W okresie ostatnich dwóch lat zmarli wszyscy niemniej równocześnie na chorobę nowotworową, którą zabrali ze sobą z rodzinnej wioski...

Z różnych stron świata

Rodzina tradycja

We francuskiej rodzinie Renoir wyrastają stale artystyczne talenty. Ostatnio wielce obiecującą gwiazdą filmu jest Sophie Renoir. Warto przypomnieć, że to właśnie jej pradziadek był genialnym malarzem impresjonistą. Dziadek Pierre był aktorem, a ojciec Claude — filmowcem.

Skąd my to znamy?

List z Ingolstadt w Bawarii do francuskiego miasteczka Nalla szedł przez 395 dni. Gdy adresat pisma nie zapłacił pocztę zachodniemiecka go było przychylna tak fatalnego opóźnienia, otrzymał odpowiadając, że jego list nie trafił do właściwego kanału wysyłkowego.

Adresata nie zadowoliło to wyjaśnienie, więc poraził pocztę, aby zostawiła te swoje nowoczesne systemy kanałów wysyłkowych i wróciła do dyktansów. Bedzie to znacznie szybciej i pewniej.

Komputer w roli... zakładnika

Przerazająca wizja świata — zniewolonego i rządzonego przez potężne komputery — rozwinęli uczestnicy pierwszego, międzynarodowego sympozjum, poświęconego problemowi: komputery a bezpieczeństwo, które obradowało ostatnio w Monte Carlo.

Uczestnicy wysłuchali m. in. referatu dr Don P. Parkera z USA, który dotychczas klasyfikował ok. 800 typów przestępstw komputerowych. Ostrzegł on, iż w granicach 10 lat dokona się na świecie zmienna ewolucja. Prawdziwym niebezpieczeństwem stanie się możliwość zniewolenia jednego narodu przez drugi na drodze paraliżowania systemu komputerowego przeciwnika.

Jakkolwiek obecne przestępstwa komputerowe popełniają zwykle urzędnicy-ekspert, którzy posiadają odpowiedni zasób wiedzy teoretycznej i doświadczenia, to jednak w przyszłości przestępstwa tego rodzaju mogą prowadzić do różnych konsekwencji, m. in. takich jak np. zbrodnie polityczne, terroryzm, a nawet do wybuchu wojny.

Jeden z przykładów: w Republice Federalnej Niemiec operator komputera ukradł 22 taśmy magnetyczne, które miały podstawowe znaczenie w funkcjonowaniu wielkiego kompleksu przemysłowego, a następnie zażądał 200 tys. dolarów okupu za taśmy. Zarząd, po krótkich targach, wypłacił mu żadaną sumę.

Podobny rodzaj szantażu można stosować z jeszcze większym skutkiem w bankach, które mają zarejestrowane w pamięciach komputerowych wiele danych o stanie finansów państwa. Uzalednienie banków od komputerów jest już w tej chwili tak wielkie, iż jest rzeczą wątpliwą, czy mogłyby funkcjonować, gdyby jakiś przestępca uzyskał taśmę magnetyczną, a następnie je zniszczył. Rzecz jasna, że coś takiego musiałoby pociągnąć za sobą poważne konsekwencje zarówno w gospodarce danego kraju, jak i w jego powiązaniach międzynarodowych.

Możliwe jest wykorzystywanie współczesnej technologii do zakłócania pracy komputerów. Wrogi kraj mógłby w ten sposób prowadzić sabotaż na wielką skalę, doprowadzając do tego, iż komputery wroga „produkowałyby” fałszywe dane.

Przestępstwa komputerowe są niezwykle trudne do wykrycia, a straty z nich wynikające w samej tylko Europie sięgają 3 mld dolarów. Natomiast w Stanach Zjednoczonych branie jako zakładników centrów komputerowych w zamian za okup przynosi sprawcom tego rodzaju przestępstwa — głównie urzędnikom-ekspertom — średnio 500 tys. dolarów zysku, podczas gdy wamywacze działają z bronią w ręku zdobywają przeciętnie 10 tys. dolarów.

Na konferencji w Monte Carlo przytaczano przykłady przestępstw, którzy z powodzeniem korzystali w swej działalności z uzalednienia, jakie stwarza komputer. Jeden z takich przykładów dotyczy amerykańskiego programatora zatrudnionego w banku, którego „nakryto” już po dokonaniu transferu 20 mln dolarów na fikcyjne konto. Został on zwolniony z pracy, ale zarząd banku w obawie przed skandalem nie wysunął przeciwko niemu żadnych oskarżeń. Po pewnym czasie zatrudnił go ponownie ten sam bank. Zorientowano się bowiem, iż podobnych przestępstw mogłyby dokonać w firmie nie znającej jego techniki działania.

Zwrot do ziołolecznictwa (4)

Przeciw groźnej grypie (III)

W poprzednim artykule przedstawiałam wykorzystanie niektórych roślin przyprawowych oraz pospolitych chwastów przy leczeniu grypy i zaziębienia. Obecnie wskazuję dalsze możliwości leczenia ziołami tych stanów.

O zbawiennym działaniu soku malinowego przy wszelkiego rodzaju przeziębieniach nie muszę chyba nikogo przekonywać. Jako lek napotny powszechnie zastosowanie mają owoce maliny lesnej i ogrodowej. Zawierają one kwasy organiczne, m. in. cytrynowy, jabłkowy, salicylowy, mrowkowy; glikozydy; garbniki, barwniki antocyjanowy; witaminę A; witaminę D; C, H i P; pektyny i związki mineralne. Owoce maliny można również suszyć, a następnie przyrządzać z nich napój. Liście malin po ocieczeniu, przefermowaniu i wysuszeniu, pomiesane z innymi liśćmi używa się do sporządzania bardzo dobrej herbaty; znakomita mieszanka przyrządzona z białej i czarnej części liści malin, dwie części liści poziomika oraz trzy części liści jeżyny.

Bez ezarny — krzew lub drzewo rosnące w lasach, zwłaszcza nadrzecznych, w zarostach srodopólnych, na przydrożach i łąkach, w pobliżu zabudowań, ma białe kwiaty, które pachną niezbyt przyjemnie oraz czarne lub czarno-fioletowe owoce. Kwiat i owoce działają przeciwgorączkowo, łagodzą chroniczne zapalenia dróg oddechowych. Z kwiatu bzu sporządza się odwar (10–30 g kwiatu na litr wody), który należy pić w ilości 2–3 szklanek dziennie przy przeziębieniach i nieżytach dróg oddechowych. Zewnętrznie, w postaci okładów, bez ezarny stosowany jest jako środek przeciowrzędny przy egzemach i oparzeniach. W tym przypadku należy przygotować wyciąg w proporcji: 100 g kwiatu na litr wody. Smaczna jest także herbata z wysuszonych kwiatów bzu. W gospodarstwie domowym z owoców bzu sporządza się soki, kompoty, konfitury i powidła.

Nie należy natomiast przygotowywać z owoców bzu win i wódek, ponieważ w procesie tym powstają alkohole wyższe, bardzo szkodliwe dla organizmu człowieka i powodujące nawet ciężkie zatrucia. Ziołolodzy podają przypadki wyleczenia powiadami z bzu wrzodów żołądka i jelit. Zbiór kwiatów dokonujemy podczas suchej pogody, natomiast owoców — gdy są w pełni dojrzałe. Zastosowanie lecznicze ma także kora bzu, głównie jako środek rozczepny.

Lipa — wspaniałe drzewo olejowe, eksploatowane jest od wielu lat do różnych celów. Surowcem lekarskim jest kwiat lipy. Ze względu na obecność olejków eterycznych, słuzów, glikozydów flawonowych, kwiatostany lipy działają napotnie, wkrztusnie, a także mocopędnie i przeciwkurczowo. Kwiaty powinno się zbierać na początku kwitnienia. Napar z kwiatu lipowego jest skutecznym środkiem przeciw grypie, przeziębieniu, zaflegmieniu dróg oddechowych, udziwliwemu kaszlowi. Zalecane jest również stosowanie lipy w mieszance ziołowej z lawulą łąkową, suszonymi malinami i rozłogami perzu. Wymienione zioła mieszają się w równych częściach, następnie 4 łyżki mieszanki zalewa się 2 szklankami wrzątku i parzy pod przykryciem. Gorący napar należy pić przed snem. Zewnętrznie napar może posłużyć do płukania gardła oraz jako dodatek do kąpiel. Do celów leczniczych zbiera się kwiaty lipy drobno- i szeroko-listne, nigdy natomiast srebrzyste. Lipa srebrzysta, zwana również wiegerską, ma duże liście, pod spodem srebrzystobiałe.

Zywokost lekarski — to pospolita roślina występująca nad brzegami wód, na wilgotnych łąkach, miedzach, czasem pod płotami. Dochodzi do 80 cm wysokości, jest okryta szorstkimi, lepki włosami, liście dolne są jajowate, w górze prze-

chodzą w lancetowate. Kwiaty żywokostu są białe z odcieniem żółtym, bladełki, korzeń brunatny wewnątrz biały, słuzowaty, miękki. Korzeń żywokostu zawiera asparaginę, słuzę, garbniki. Zbiera się go latem, po wymyciu suszy i drobno kroi. Niektórzy specjaliści zalecają tłuczenie korzenia do takiego stanu, by powstała kawałki nie były większe od ziarna grochu. Połączony lub pocięty korzeń zalewa się gorącą wodą i odstawia na 4–6 godzin, co pewien czas mieszając. Po upływie tego czasu nastój należy przecedzić; powinien on być gęsty i ciemny. Przygotowany w ten sposób nastój należy pić przy leczeniu chorób dróg oddechowych.

Napoleńskie działka rumianek zwyczajny — będący jednym z najstarszych leków. Wzmianki o leczniczych właściwościach tego popularnego chwastu porastającego pola uprawne, ugory, wiejskie place, znajdujemy już w dziełach lekarzy i pisarzy z czasów Nerona, np. u Dioscoridesa i Pliniusza. W leczeniu wykorzystuje się koszyczki kwiatowe. Rumianek zwyczajny, w odróżnieniu od innych gatunków, ma kwiaty brzojne białe, środkowe natomiast żółte, a dno kwiatowe jest stożkowe, wewnątrz puste. Cała roślina jest silnie aromatyczna, zawiera olejki eteryczne, glikozydy, garbniki, gorycze i słuzę, witaminę C oraz karoten. Kwiaty należy zbierać w słoneczne dni, jeszcze nie całkowicie rozwinięte. Przekwitnięte mają mniejszą wartość leczniczą. Zebrany surowiec suszy się w przewiewnym miejscu. Z kwiatów sporządza się odwar, łyżkę koszyczek kwiatowych zalewa się szklanką wrzątku i odczekać po 10 minutach. Rumianku nie można gotować, bowiem zawarty w nim olejek eteryczny wraz z cennymi związkami azulenowymi szybko się ulatnia, obniżając tym samym wartość leczniczą. Napar z rumianku działa przeciwgorączkowo, mocopędnie, wiatropędnie, przeciwkurczowo. Jest też doskonałym lekiem dla niemowląt np. przy bólach jelitowych. Napar powinno się sporządzać tuż przed piciem, gdyż jest nietrwały. Kwiat rumianku wchodzi w skład wielu mieszanek ziołowych. Zewnętrznie odwar działa przeciwzapalnie, stosuje się go do przemywania oczu (zapalenie spojówek), uszu, przy opryszczkach, oparzeniach, odmrożeniach oraz na trudno gojące się rany.

(HAK)



Ulegając kiedyś prośbie młodego adepta sztuki łowieckiej, jako stary „fachman” od dzików, zabrałem go na indywidualne polowanie. Było to pod koniec sierpnia, po żniwach, a więc w warunkach wręcz idealnych dla tego typu łowów. O zmroku zjawiliśmy się w łowisku i — zgodnie z prawidłami sztuki — rozesliśmy się każdy w swoją stronę. Przedtem udzieliłem koledze godzinnej instruktażu: o rozpoznawaniu celu, bezpieczeństwie itp. Ustaliśmy też, że jeżeli któryś z nas strzeli, drugi idzie za głosem strzału.

I poszliśmy. Złustrowałem kilka zagonów z kartoflami i zamierza-

łem podejść na pole z kukurydzą, gdy usłyszałem strzał z kierunku, w którym poszedł kolega. Odnalazłem go niebawem, trzęsącego się jak osika. Nie mógł wydobyć głosu ze wzruszenia, tylko ręką pokazywał na wysokość pasa, określając

chirurgiczny, a czasem „skończyć się jeszcze gorzej”.

Zaczęliśmy ostrożnie podchodzić, targani wątpliwościami, co też naprawdę znajdziemy na miejscu. No i znaleźliśmy... krowę, spokojnie przeżuwającą swoją kolację. Ode-

mnie polowania z podchodu, bardzo trudnego, oraz innych łowieckich kruczków.

Pewnego razu z „ambony”, wypatrzyliśmy koziołka, czyli samca samy. Było to w połowie czerwca; wieczór był niezwykle ciepły, tylko komary dokuczały. Ambona składała się z dwóch szerokich desek, z których jedną mieliśmy pod nogami, zaś na drugiej siedzieliśmy. Cała ta konstrukcja umieszczona była na sąsiadujących ze sobą drzewach i trzeba było bardzo uważać, żeby nie znaleźć się na ziemi.

Przed samym zmrokiem na łęczce, przy której stała ambona, weszli koziołek, taki w sam raz do ostrzału. Spojrzałem na sąsiada: spał jak zabity. Strzelilem. Staruszek ocknął się, spytał: leży? i spokojnie ruszył z ambony wprost przed siebie. W ostatniej chwili złapałem go za kołnierzy kurtki, gdy już wisiał oboma nogami w powietrzu... Przypomniało mi się wówczas jego ulubione powiedzenie: — Czego to ja nie mam? Czego to ja nie mam? Aha! Nie mam sklerozy!

STANISŁAW SIMIŃSKI

Młodzi i starzy

w ten sposób wielkość strzelonego odynka, leżącego 100 metrów od nas. Popatrzyłem przez lunetkę i zrobiło mi się słabo. Jeżeli to odyniec, to musiał mieć około 200 kilogramów, a takich w tych okolicach nigdy nie było!

Tymczasem zrobiło się już prawie ciemno; na wszelki wypadek odczekaliśmy więc jeszcze parę minut, bo do strzelonego dzika należy podchodzić po wyczekaniu, aż się „wyfartbuje”; za wcześnie spracowanie efektownego strzału może zaprowadzić do fatalnego myślnego do oddziału

technałem z ulgą; dzięki Bogu, że nie trafił, choć z drugiej strony nie trafić w tak potężny cel...

Bardzo lubiłem chodzić na indywidualne polowania z pewnym przemyślnym starszym panem, który mimo osiemdziesiątki na karku, mógł stanowić wzór aktywności życiowej, a przy tym niezwyklej etyki myśliwskiej. Posiadał ogromne doświadczenie, którym chętnie dzielił się z innymi. On to nauczył



W dalekiej dolinie u stóp gór żył człowiek dobry i sprawiedliwy. Założył i wypielęgnował duży, piękny ogród. Kiedy zestarzał się i nie mógł już sam pracować, oddał ogród swemu synowi, Chamdamowi. Chamdam odziedziczył po ojcu jego dobroć i uczciwość, kochał też drzewa i kwiaty. Ożenił się i pracował w ogrodzie.

Wreszcie jego stary ojciec poczuł, że zbliża się śmierć. Zeszedł od chorego sąsiada i przyjaciela. Starzec zawałał syna i powiedział:

— Kochany Chamdamie, rzucaj długie umrze, ale ty nie porzucaj ogrodu. Pracuj, bądź dobry i sprawiedliwy. Oto mój testament. O ile pamiętam, nikomu nie nie jestem winien. Ale pamięć czasem zawodzi. Mogło się zdarzyć, że coś od kogoś pożyczyłem, a potem zapomniałem i nie oddałem. Jeżeli więc ktoś poprosi ciebie, żebyś oddał mój dług, to mu nie odmawiaj, nie okryj mnie hańbą i nie trwóż moich duchów w mogile. Za nie nie chcę nikogo skrzywdzić.

To powiedziawszy stary ogrodnik stracił przytomność. Sąsiadzi i przyjaciele wyszli, Chamdam odprowadził ich do bramy, jak tego wymagała przyzwoitość.

Jeden z kupców zatrzymał się w bramie i powiedział:

— No, Chamdamie, zapamiętaj, dobrze ostatnie słowa twego ojca.

Starzec umarł tej samej nocy. Chamdam starał się być takim jak chciał ojciec. Od rana do nocy pracował w ogrodzie, był gościnnym i każdemu pomagał.

Kiedys przyszedł do ogrodu ten sam kupiec, który był obecny przy ostatniej rozmowie ojca z synem, a później zatrzymał Chamdama w bramie.

— Miło mi ciebie widzieć, Chamdamie — powiedział. — Niech ci się powodzi w rodzinie i w ogrodzie. Przyszedłem do ciebie dzisiaj z interesem. Pewno wiesz o tym, a może nie wiesz, że twój ojciec pożyczył ode mnie pieniądze. Od tej pory wiele czasu minęło. Może ojciec zapomniał o tym długu, a może nie mógł oddać. Czy twój ojciec mówił ci o tym?

— Nie — odpowiedział Chamdam. — Ile ojciec pożyczył?

— Pięćset tangów.

— Zaraz je oddam — powiedział Chamdam i poszedł do domu po pieniądze.

Po kilku dniach przyszedł do niego bogaty sąsiad. Zagadywał o tym i o owym, wreszcie zapytał:

— Chamdamie, czy ojciec nie mówił ci przed śmiercią o swoim długu?

— Nie. Jaki to dług?

— Twój ojciec pożyczył u mnie sporo ziarna. Najpierw wziął na twoje wesele dziesięć miar pszenicy. Potem, kiedy urządzał ucztę po urodzeniu się twoich synów, pożyczył ode mnie znowu dziesięć miar pszenicy i pięć miar ryżu.

— To dziwne, że ojciec nie mi nie mówił o takim dużym długu — zdziwił się Chamdam.

— Mogł zapomnieć — powiedział bogacz.

Żeby zwrócić to, czego żądał sąsiad, Chamdam musiał sprzedać kawalek ogrodu.

Przychodzili do niego jeszcze inni ludzie i kłamał, że jego ojciec pożyczył od nich to czy owo. Chamdam przestał pracować w ogrodzie, tylko na spłaty po kolei wyprowadzał wszystko, co odziedziczył po ojcu.

Wreszcie został z rodziną bez dachu nad głową. Dopiero wtedy dało mu spokój.

Wtedy żona Chamdama powiedziała do niego:

— Mieszkańcy naszego rodzinnego miasta zaczynają na nas patrzeć jak na żebraków. Przyjaciele odwrócili się od ciebie i nie chcą ci pomóc, chociaż twój ojciec i ty tak często pomagaliście innym. Niedobrze są tutejsi ludzie. Weźmy lepiej obu naszych synków i przebieśmy się tam, gdzie nikt nas nie zna. Może trafimy na lepszych ludzi i urządzimy sobie jakoś nowe życie.

Żona Chamdama miała brata, bogatego kupca. Posiadał on własny statek i woził towary do obcych krajów. Ale był to człowiek pyszny i nieużyty. Nieraz wydzierał nad siostrą, że wyszła za mąż za swego ogrodnika. Chamdam nie

Wrócił pod drzewo, odpocząć i zobaczył z wielkim zdziwieniem, że tymczasem wyrosła na drzewie zielona gałązka, a na niej duży owoc.

Po kilku dniach miał już spory stos wyłowionych z morza ślicznych kamieni. W nocy świeciły tak jasno, że dookoła było zupełnie widno. Na drzewie co dzień wyrastał posilny owoc.

Przewodnicy karawan, które szły przez pustynię, dziwili się, co tak świeci nad morzem. Kilku ludzi odważyło się pójść popatrzeć. Kiedy się zbliżyli, zobaczyli człowieka siedzącego pod drzewem, a obok stos pięknych, błyszczących kamieni.

— Ktoś ty taki — spytał Chamdam — człowiek czy dziwo, skąd masz te kamienie?

— Jestem zwyczajnym człowiekiem. A te kamienie wydobylem własnymi rękami — odpowiedział Chamdam.

CHAMDAM SYN OGRODNIKA (baśń tadżycka)

chciał prosić go o pomoc — wołał pójść za radą żony.

Po kilku dniach porzucił swoje rodzinne strony. Długo szli przez stepy i pustynie aż dotarli nad brzeg morza. Na przystani jakiś zany kupiec zgodził się zawieźć ich bezpłatnie dalej.

W nocy rozszalała się burza. Fale rzucały statkiem jak utamną gałązką. W ciemnościach statek zderzył się z innym. Oba statki rozbiły się, zostały z nich tylko drzazgi.

Wielu rozbitków utonęło, mało kto ocalał uciepiwszy się szczątków. Porwały ich wzburzone fale.

Tak się stało i z Chamdamem. Przez kilka dni i nocy fale niosły go po morzu. Tracił przytomność z głodu i pragnienia, ale nie wypuścił z rąk deski, której się uciepił.

Gdy burza ustała łagodny prąd zaniósł wyczerpanego Chamdama na brzeg.

Chamdam znalazł się na pustyni. Na brzegu rosło jedno jedyne drzewo, ale było suche. Nie miał siły, żeby iść dalej, położył się obok pnia i zasnął głęboko.

Sniło mu się, że widzi swoją żonę i synków, że wszyscy troje płaczą i wzywają go na pomoc.

Nagle wszystko zniknęło. Do Chamdama podszedł starzec w złotej szacie i w zawoju na głowie i powiedział:

— Witaj przybysz! Nie trap się. Taki jest twój los, żebyś teraz pracował tutaj. Odtąd ta ziemia będzie twoja. Własnym trudem zmień pustynię w żyzną krainę. Najpierw zjeżdż nad morze, zanurzę ręce w wodzie i wydobądź to, co znajdziesz na dnie.

Starzec odszedł, a Chamdam obudził się ze snu. Zeszedł nad morze i zanurzył ręce w wodzie. Wyłowił dwie garście różnobarwnych, błyszczących kamieni. Wyrzucił je na brzeg i łowił jeszcze kilka chwil ostatkiem sił.

— Czy nie sprzedalbyś ich?

— Owszem, ale nie za pieniądze. Co mi po pieniądzach na pustyni? Przywieście mi nasiona szót, nasiona drzew owocowych i wszystko, czego człowiek potrzebuje do życia.

Członkowie karawany zgodzili się, a Chamdam dał im za to podwójną sakwę drogiego kamieni na każdego wielbiada.

Niedługo wszystkie karawany, które przechodziły tamtędy zaczęły skręcać na brzeg morza. I wszystkie wyładowywały coraz to nowe towary. Zwoziły też powoli materiały budowlane, dostarczały rzemieślników. Zaczęła się budowa nowego miasta.

Z początku Chamdam myślał, o tym by wyruszyć na poszukiwanie żony i synów. Ale podroźni jednej z karawan powiedział mu, że z obu rozbitych statków nikt nie ocalał.

Chamdam bardzo cierpiał myśląc o losie swojej rodziny, ale nie przerywał pracy.

Po jakimś czasie na pustyni założyły sady i ogrody, stanęły piękne domy. Wyrosło całe miasto. Pośrodku stał pałac, miał on ściany wyłożone błyszczącymi kamieniami z dna morza i świecił rybakom i marynarzom jak latarnia morska. Każdemu, kto przybył do miasta Chamdam mówił:

— Wdowy i sieroty, biedni i bezdomni mogą przyjść do nowego miasta i pracować razem ze mną w miarę sił. Dostaną tu wszystko, czego potrzebują do życia.

Osiadł tam coraz więcej ludzi, aż powoli cała pustynia zamieniła się w kwitnący raj. Tylko próżniaków i kusztów wypędzano natychmiast.

Na życzenie obywateli Chamdam został głową miasta i wszystkim zarządzał. Drzewo, pod którym odpoczął po raz pierwszy, stało teraz pośrodku wielkiego ogrodu i pokryte było całe liśćmi i owocami. Patząc

na nie Chamdam nieraz wspominał swój dawny ogród, i dom, i rodzinę.

Sława nowego miasta rozeszła się daleko. Rozmaiti ludzie przyjeżdżali, żeby je obejrzeć. Kupcy przywozili zamorskie towary.

Kiedys zawałał do portu statek bogatego kupca. Chciał on także zobaczyć nowe wspaniałe miasto, a przy tym coś niecoś utargować.

Kupiec poszedł pokłonić się Chamdamowi, a jego siostra poszła na targ, żeby kupić zapasy na daleką drogę.

Siostra kupca była kucharką na jego statku. Kupiec wystąpił u niego bogiej siostry i wszyscy myśleli, że to służąca.

Rozstał się bogaty namiot w jednym z ogrodów i rozłożył w nim swoje towary. Ponieważ bał się, żeby go złodzieje nie okradli, poprosił Chamdama o straż. Chamdam obiecał przysłać mu dwóch strażników.

Kiedy kupiec wrócił od Chamdama a jego siostra z targu, zapadł wieczór. Kupiec wyjrzał na dwór i zobaczył, że strażnicy już są, położyli się więc spokojnie spać.

Ale jego siostra nie mogła zasnąć. Przez szparę widziała w świetle księżycy dwie czarne postacie strażników i dołatywała ją ich rozmowa.

— Nudno tak siedzieć przez całą noc i milczeć — powiedział jeden. — Opowiadajmy coś sobie.

— Zdaje się, że żyjesz o rok dłużej niż ja — powiedział drugi. — Ty zacytuj opowiadanie.

— Niech tak będzie. Opowiem ci moją historię. Było tak: miałem młodszego brata, miałem małkę i ojca. Rodzice moi stracili wszystko przez ludzką złość i postanowili opuścić razem z nami rodzinne miasto. Pamiętam, że wsiadliśmy wszyscy na statek i wypłynęliśmy na morze. W nocy zrobiła się burza. W gwałtowne fale wyrzuciły na brzeg, gdzie znalazł mnie jakiś dobry człowiek i ocucił, pracowałem u niego przez kilka lat, aż dorosłem. Dowiedziałem się o nowym pięknym mieście na pustyni i postanowiłem poszukać w nim szczęścia. Nie wiem, jak dawno ty tu jesteś, ale jeżeli niedawno, to ci powiem, że nasz zarządca to bardzo dobry człowiek. Jest troskliwy jak ojciec i nawet nazywa się Chamdam, tak jak nazywał się mój ojciec.

— A ty sam jak się nazywasz? — zapytał młodszy strażnik.

— Rafi.

— A jak nazywał się twój brat?

— Chafiz.

— To ja jestem Chafiz, twój brat.

Twoj los — to i mój los!

Tak bracia poznali jeden drugiego. Padli sobie w objęcia. Kobieta w namiocie słyszała ich rozmowę. Płakała potem długo.

Kiedy kupiec wstał wczesnym rankiem zawałał siostrę, żeby dała mu śniadanie. Zobaczył, że jest zamykająca, więc zapytał opryskliwie:

— Co ci się stało?

— To wina naszych strażników — odpowiedziała siostra. Rozgniewany kupiec pobiegł do Chamdama na skargę.

Chamdam wezwał strażników. — Nie obrażaliśmy niczym tej kobiety — zakinali się strażnicy. — Rozmawialiśmy tylko o sobie, opowiadaliśmy sobie swoje życie.

— Zawołajcie kobietę i powtórzcie przy niej wszystko, coście mówili w nocy — rozkazał Chamdam strażnikom.

Tak się stało. Kobieta, jak wszystkie kobiety w tym kraju, przysłała z zasłoną na twarz i stanęła przed Chamdamem. Wtedy Rafi powtórzył swoje nocne opowiadanie.

— Chłopaki moje kochane, to ja jestem waszym ojcem! — zawałał Chamdam i chwycił synów w ramiona.

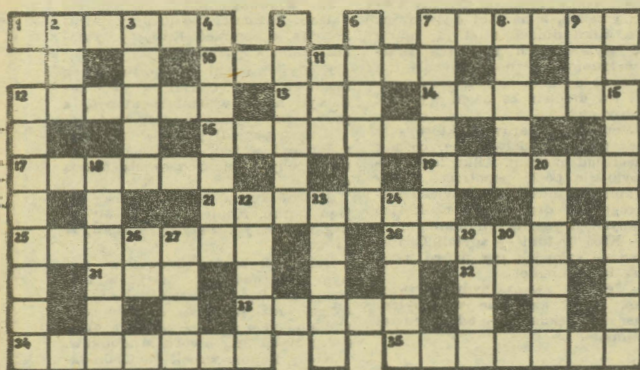
Kobieta odrzuciła zasłonę i odsłoniła twarz.

— Dzieci moje! Mężu mój! — zawołała.

Chamdam poznał swoją żonę. Ona też myślała dotąd, że jej rodzina utonęła.

Tak wszyscy się odnaleźli i zaczęli wrócić do Chamdama.

Krzyżówka nr 16



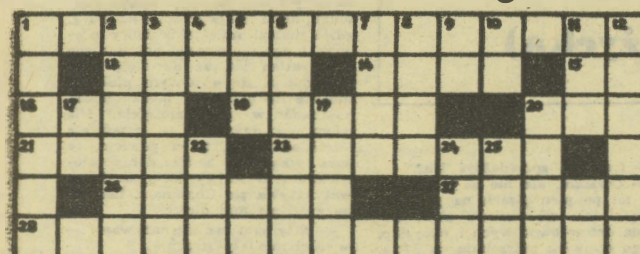
POZIOMO: 1) znak siekiera na pniu, 7) jeden ze specjalów cukierniczych, 10) zbiera rośliny lecznicze, 12) do zamknięcia, 13) najlepszy: „Captain Morgan” i „Havana Club”, 14) obowiązkowy w Tłusty Czwartek, 16) jeździ za ciagnikiem siodłowym, 17) ciężka tkanina ozdobna, 19) jaszczurki nadzwyczajne spod równika, 21) Mata Hari, 25) ziemie i dochody braci królewskich, 28) największy mistrz japońskiego drzeworytu barwnego, 31) święty patron chorych na płaszwicę, 32) jałowcówka, 33) cel zarzucenia sieci, 34) srebrzysty, kruchy metal, 35) prenumerator.

PIONOWO: 2) osada kaukaska, 3) sztuka Mrózka, 4) wymuszenie przez groźbę, 5) trzy w meczu hokeja, 6) głoszny żal, 7) efektowna figura gimnastyka, 8) wódz plemienny, 9) znakomni-

cie biegający Brytyjczyk, 11) niedokładne dopasowanie, 12) najlepsza do zbioru grzybów, 15) materiał posadzkowy, inaczej skalodrzew, 18) węgiel kadmiu, 20) główna rzeka Lesotho, 22) margrabia — przeciwnik Mieszka I, 23) jedno nad Notecią, drugie na Śląsku, 24) sknera, 26) przed ksi w alfabecie greckim, 27) w środku ma proton, 29) nadwyżka kursu giełdowego, 30) trzecia nuta w gamie.

PIONOWYRAZOWE HASŁO POMOCNICZE (pierwsza liczba oznacza numer wyrazu w krzyżówce, liczba po kresce — kolejną literę w tym wyrazie): 7—4, 22—3, 32—1, 24—2, 13—3, 19—2, 34—2, 18—2, 15—1, 29—3, 20—5, 25—1, 3—2, 1—1, 18—5, 35—1, 2—3, 16—2, 19—5, 17—5, 33—2, 5—2, 20—2, 23—3, 28—4, 33—4, 15—4, 12—7, 9—2.

Mini-krzyżówka nr 17



POZIOMO: 1) odbrawowanie, 13) amerykański kuzyni zająca, 14) jajka, ale nie ptasie, 15) wpływa do Uralu koło Orska, 16) duże pomieszczenie, 18) zaczep do mocowania liny na pokładzie, 20) ciepły wiatr, 21) stan działania w niepełnej świadomości, 23) pastylki przeciwkaszlowe, 26) popularna przed wojną nazwa hoteli i kin, 27) dodatek do dżinu, 28) nieuczciwość.

PIONOWO: 1) dojście, 2) Henryk Rodakowski, 3) miejsce słynnej bitwy z 10 IV 1831, 4) samoloty Tupolewa, 5) czołowy klub piłkarski z Belgradu, 6) lotnisko mediolańskie, 7) piękny taniec barokowy, 8) zbyt ufał skrzydłom, 9) symbol cykonu, 10) inicjały autora słów „Daremne żale, próżny trud...”, 11) śpiewał o nim w swej najśłynniejszej balladzie Jimi Hendrix, 12) chroniona roślina lecznicza, zwana też pomórnikiem, 17) 10 metrów na 10, 19) port u ujścia Donu, 20) zastaw w zabawie, 22) dopływ Wisły, 24) pierwiastek, 25) piśnię do niego nie pasuje.

CZTEROWYRAZOWE HASŁO POMOCNICZE (pierwsza liczba oznacza numer wyrazu w krzyżówce, liczba po kresce — kolejną literę w tym wyrazie): 1—13, 19—2, 11—3, 18—1, 26—3, 2—4, 17—1, 27—3, 13—1, 28—12, 2—1, 8—3, 11—1.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 2 maja.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12

POZIOMO: 1) wędzisko, 5) człowiek, 9) zenit, 10) Orkan, 12) Loara, 13) red. 14) DESA, 15) trema, 18) Grosz, 20) makrela, 22) Czarna, 23) Damian, 24) Polewka, 27) antena, 30) ambicja, 33) Otry, 34) Spa, 35) kuc, 36) era, 37) udo, 38) zawód, 39) zderzak, 42) reaktor, 46) landrat, 47) barłóg, 48) Ułanów, 49) Irokezi, 52) Józwa, 55) badył, 57) data, 59) runo, 60) Tudor, 61) Arsen, 62) rylec, 63) ofensywa, 64) strońca.

PIONOWO: 1) wylądowanie, 2) dymie, 3) Isira, 4) Odra, 5) Czad, 6) oflag, 7) Idaho, 8) krasnanka, 10) odma, 11) Neil, 16) Morse, 17) przeprowadzka, 19) ramki, 20) mapa, 21) Adam, 25) otłoczek, 26) katedra, 29) napęd, 29) nakaz, 31) brawa, 32) jadło, 39) zabojeństwo, 40) Ryłow, 41) algii, 43) etui, 44) kraja, 45) rewolucja, 50) rama, 51) zdun, 53) sydlę, 54) adreca, 55) bordo, 56) dukli, 58) aria, 59) rejs.

HASŁO POMOCNICZE: Nie smaruj włosy, bo skróciś sobie lato.

Nagrody wylosowali pani Magdalena Futre z Rakbi i pan Ludwik Pudło z Nowego Sącza. Gratulujemy. Przepraszamy za błąd korektorski w hasłach (64 poziomo winno być: patrzył na dwunastą). Nie wszystkim przeszło, że on w rozwiązaniu, ale uwzględniliśmy przy losowaniu również odpowiedzi bez tego hasła.

Krzyżówka nr 12 była ostatnia w I kwartale, pora więc na rozstrzygnięcie konkursu dla najlepszych. Tym razem bezkonkurencyjną wśród 144 „krzyżówkowiczów” okazała się pani Anna Toloń z Nowego Sącza, nie tylko dlatego, że jako jedyna rozwiązała krzyżówkę najtrudniejszą. O drugie miejsce na finiszu toczyli walkę czterej panowie: Adam Kurowski z Rakbi, Jan Nawrot z Nowego Targu, Bogdan Olesiak z Nowego Sącza i Bogusław Pęca z Gorlic. Ostatecznie jako drugi zdobył „Opowieści Ewangelistów” Zenona Kosidrowskiego pan Nawrot. Gratulujemy. Również w tym kwartale prowadzimy konkurs dla najlepszych amatorów krzyżówek: przypominamy, że ilość punktów za prawidłowe rozwiązanie oznaczamy kropkami przy każdym diagramie i że obowiązuje podanie wszystkich haseł, a nie tylko hasła pomocniczego.

Legalizację wstępną i końcową szykoseiometryz samochodowych

produkcji krajowej i zagranicznej
raz **BADANIA TECHNICZNE POJAZDÓW SAMOCHODOWYCH I PRZYCZEP**

WYKONUJE USŁUGOWO

na zamówienie jednostek gospodarki uspołecznionej, po uprzednim uzgodnieniu telefonicznym,

Filia Przedsiębiorstwa Transportowego Handlu Wewnętrznego
w Gorlicach, ul. Węgierska 19, telefon 204-93, 208-12.

Koszt wg obowiązujących przepisów.

K-2558

PRZYDZIAŁ MIESZKAŃ SPÓŁDZIELCZYCH NA TERENIE WOJEWÓDZTWA NOWOSĄDECKIEGO W ROKU 1981

Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa w Nowym Sączu zawiadamia, że projekty list przydziałów mieszkań spółdzielczych na rok 1981 zostaną wywieszone od 2 maja 1981 r. w biurach wszystkich spółdzielni mieszkaniowych województwa nowosądeckiego, które w roku 1981 będą oddawać do eksploatacji nowe mieszkania.

Członkowie, kandydaci i inne zainteresowane osoby mają prawo zgłaszania zastrzeżeń i uwag do projektów list przydziałów, pod adresem rad właściwych spółdzielni (listem poleconym lub za potwierdzeniem odbioru), w terminie do 14 dni od dnia wywieszenia listy.

Decyzje rad spółdzielni, podjęte w wyniku rozpatrzenia wniesionych odwołań od projektu list przydziałów mieszkań spółdzielczych w postępowaniu wewnątrzspółdzielczym — są ostateczne.

Zarząd Wojewódzkiej Spółdzielni
Mieszkaniowej w Nowym Sączu

HUTNICZE PRZEDSIĘBIORSTWO REMONTOWE — ZAKŁAD Nr 3 W KRAKOWIE — NOWEJ HUCIE w porozumieniu z Krakowską Komendą OHP

przyjmuje młodzież

w wieku 18—23 lat do dwuletniego Ochotniczego Hufca Pracy 17—4

PRZEDSIĘBIORSTWO ZAPEWNI:

- bezpłatne zakwaterowanie w nowym komfortowym hotelu pracowniczym
- wyżywienie w stołówce hotelowej
- umundurowanie organizacyjne
- zwrot kosztów przejazdu raz w miesiącu w celu odwiedzenia rodziny

W CZASIE DWULETNIEGO POBYTU W HUFCU MOŻECIE:

- ukończyć szkołę podstawową lub zawodową
- zdobyć atrakcyjny zawód:
 - ◆ ślusarza remontowego ◆ spawacza gazowego i elektrycznego
 - ◆ operatora sprzętu ◆ murarza i malarza

Przedsiębiorstwo gwarantuje zarobki, przewidziane w taryfikatorze resortu hutnictwa.

DECYDUJĄC SIĘ NA PODJĘCIE PRACY ZABIERZCIE ZE SOBĄ:

- ◆ ostatnie świadectwo szkolne
- ◆ dowód osobisty
- ◆ książeczkę wojskową lub zaświadczenie o stawieniu się do rejestracji przedpoborowych.

Szczegółowych informacji udziela Sekretariat Komendy Hufca, Kraków — Nowa Huta, os. XX-lecia, telefon 820-04.

Do czasu wcielenia młodzież będzie zatrudniona na warunkach ogólnopracowniczych.

Dojazd z Krakowa tramwajem nr 1, 5, 26 — do Ronda Kocmyrskiego, a stąd około 300 m do budynku typu „Lipski” (niebieski).

OGŁOSZENIA PRASOWE do tygodnika „Dunajec”

(reklamowe, komunikaty, nekrologi, ogłoszenia „drobne”)

PRZYJMUJĄ:

- ◆ Sekretariat redakcji tygodnika „Dunajec” w Nowym Sączu, ul. St. Żółkiewskiego 11, tel. 238-36, 238-90
- ◆ Oddział redakcji „Gazety Krakowskiej” w Nowym Sączu, ul. Narutowicza 6, tel. 203-34
- ◆ Biuro Ogłoszeń i Reklam Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego — Kraków, ul. Wiślna 2, tel. 270-89.

PIĄTEK

PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR, RTSS;
6.00 Geografia, kl. V — „Mikołaj Kopernik”;
9.55 Program dla kl. IV — „W kralinie ty-sząca jezior”;
11.00 „Leśne ścieżki”;
11.55 „Leśne ścieżki”;
12.30 „Leśne ścieżki”;
13.30, 14.00 TTR;
13.30 Program dnia;
15.15 Redakcja szkolna zapowiada;
15.30 NURT;
16.00 Dziennik;
16.15 Obiekty;
16.30 Dla dzieci — „Kółko granaste”;
16.40 Magazyn motoryzacyjny;
17.15 „Świadkowie”;
17.40 „Hrabia Gaston — rycerz Pirenejów” (4);
18.35 „Lekarz radzi” — tzw. nerwica toł-dka;
18.50 Dobranoc — „Osiołkowe bajeczki”;
19.00 „Monitor rządowy”;
19.30 Dziennik;
19.55 Filmoteka arcydzieł — „Pociąg pod specjalnym nadzorem” — czechosłowac-ki film fab.
21.50 Rolnicze rozmowy;
22.00 „Listy o gospodarce”;
22.15 Dziennik.

PROGRAM II

DWOJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

- PREMIERY DNIA
10.00 „Nieznani bohaterowie” (4) — film sen-sacyjny prod. KRL-D;
10.50 „Ziemla ojców” (4) — Tonek;
16.25 Program dnia;
16.30 Język francuski (22) kurs podst.;
17.00 Język rosyjski (22) kurs podst.;
17.30 Język angielski (22) — kurs dla zaawansowanych;
18.00 Kino TDO — „Sekrety kina”;
18.30 Młodzieżowy magazyn techniki — „La-dar”;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Uśmiech spod parasola”;
20.30 „Taaka ryba”;
21.00 24 godziny;
21.10 Mistrzostwa Europy w zapasach — kro-nika;
21.55 „Nieznani bohaterowie” (6) — film sen-sacyjny prod. KRL-D;
22.50 Wojskowy film dok. — Narodowa ar-mia ludowa NRD;

SOBOTA

PROGRAM I

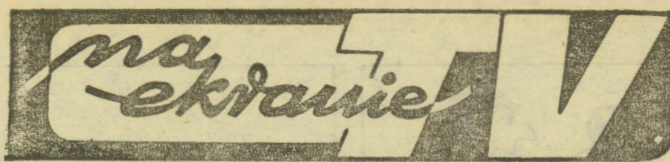
- 6.00, 6.30 TTR;
6.30, 14.00 TTR;
15.55 Program dnia;
16.00 Dziennik;
16.15 Obiekty;
17.00 „Sezam” — książka dla dzieci;
17.30 „Gwiazdozbiór” — Maja Kornorowska;
17.45 Program publicystyki międzynarodowej;
18.00 Mistrzostwa Europy w zapasach;
18.50 Dobranoc;
19.00 C.D.N.;
19.30 Dziennik;
20.00 „Zbuntowany księżyc” — film TV ang.;
20.55 „Jeden dzień w Polsce” — progr. rep.;
22.30 Dziennik;
22.45 Festiwal Eurowizji — program rozr. z Dublina.

PROGRAM II

- 16.25 Program dnia;
16.30 „Militaria, obronność, nowoczesność” — „W pracowniach WA”;
17.60 STUDIO-2;
Konferencja prasowa z ministrzem zdra-wia — Tadeuszem Ślacheckim;
17.50 „Ziemla ojców” (4) — „Tonek” — film TV CSB;
18.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.55 Postawie — dziennikarze dla studia-2;
20.15 Muzyczne forum studia-2 — wydanie programu muzycznego Waltera Cheis-towskiego;
21.05 „Gram dla...” — teleturniej kryminal-ny;
21.55 „Niebezpieczny poślę” (4) — „Nieświe-ża ryba” — film TV NRD;
22.00 „Raport w sprawie alkoholizmu”;
22.30 Program publ.;
23.30 24 godziny;
23.45 „Ballady Jazowe” Jarosława Smietana.

TV BRATYSŁAWA

- 10.00 „Curio Jimenez” (4);
14.00 Pionierska Jaskółka;
17.40 Sprytny i zwycięzca;
18.20 Wieczorynka;
18.30 „Przyjaciele Zielonej Doliny” (7);
18.30 Dziennik TV;
20.00 Hotel dla gości — akademik Bohumil Kvasil;
20.30 „Egzemin” — mała komedia;



24. IV — 30. IV.

- 21.10 Bramki, punkty, sekundy;
21.20 Międzynarod. zawody w tańcu towa-rzyskim;
22.50 „Rozdarta dusza” film ameryk.

NIEDZIELA

PROGRAM I

- 6.00, 6.30 TTR;
7.00 TTR, RTSS;
7.30 Alarm przeciwpożarowy trwa;
7.40 Nowoczesność w domu i zagrodzie;
8.10 Emerytura dla rolników;
8.20 „Od słowa do działania”;
8.35 Telewizjarda;
8.45 Program dnia;
9.00 „Teleranek”;
10.30 Antena;
11.00 „Miejsca świata” — Rzym;
12.00 Dziennik;
12.25 „PGR bez mitów”;
12.45 „M. fil oświecone” — państwo a społe-czeństwo w XVI w.;
12.55 TYLKO W NIEDZIELĘ;
Wiersz dla Ciebie;
13.30 „Przygodzi Sindbada” — film anim.;
13.55 „Paleta” — młodzieżowy teleturniej plastyczny;
14.20 Losowanie dużego lotka;
14.30 Filmy Charlie Chaplina — „Chaplin reus”;
14.50 „Charlie żołnierzem”;
16.30 „Rezerwat bez granic” (3);
17.15 „Wolania nocy” — wspomnienie o naj-młodszym poecie okupowanej Warszawy;
17.30 Jan Jaronir Aleksun — rektor — re-portaż poświęcony najmłodszemu rektorowi w historii polskiego szkolnictwa artystycznego;
18.00 „Ogród ziemskich rozkoszy” — impre-za studia eksperymentalnego TV na temat znanego tryptyku malarzkiego Hieronima Boscha;
18.10 Godzina z Markiem Piwowarskim;
19.50 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.00 Wiersz dla Ciebie;
20.35 „Buddenbrookowie” (4) — serial TV RFN;
21.05 Magia teatru muzycznego — fragmen-ty polskich i zagranicznych musicali;
22.05 Sportowa niedziela;
22.30 „Jaki naprawdę jestem” — Wojciech Młynarski;
23.10 Wiersz dla Ciebie.

PROGRAM II

- 8.25 Program dnia;
8.30 „Dzieci Zamozszczyzny oczekują” — progr. wojsk.;
10.00 „Misja” (6) — film TP;
11.20 „Przebiegi tygodnia”;
12.15 Godzina reportażu;
13.15 Wielka gra;
14.00 Teatr telewizji — „Wojciech Bogusław-ski „Henryk VI na kowach”;
15.30 „Panorama jazzu polskiego” — kwart-et Jana Ptaszyna Wróblewskiego;
16.00 „Popołudnie fauny i flory”;
16.45 Magazyn sportowy;
16.55 Wspomnienie o profesorze Drazew-skim (powt. z 17 bm.);
18.00 „Jak dawniej w łodzi domy budo-wano” — film dok. telewizji duńskiej;
19.30 Dziennik telewizyjny — magazyn świat;
20.00 Telewizyjny music-hall — program TV Palety;
21.00 Filmoteka narodowa — filmy Jerzego Kawalerowicza „Pociąg”;
21.45 „Legenda o Robin Hoodzie” (5);
11.40 Zwierciadło tygodnia;
12.55 MS w hokeju na lodzie;
16.55 MS w hokeju na lodzie;
20.00 Dziennik TV;
20.35 J. Dudkova: „Księżycowa tomasja”;
21.55 Bramki, punkty, sekundy;
22.30 Kronika muzyczna;
22.40 Relacje z transmisji sportowych.

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

- 13.30 TTR;
14.00 TTR, RTSS;
15.25 Program dnia;
15.30 NURT — pedagogika;
16.00 Dziennik;

- 16.15 Obiekty;
16.30 Dla dzieci: „Zwierzyniec”;
17.00 „Cztery pancerni i pies” (14) — „Wokół Guerniki” — reportaż filmowy;
18.15 „Impulsy” — magazyn spraw pracow-niczych;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Echa stadionów”;
19.30 Dziennik;
20.00 Teatr Telewizji — „Ladislav Fuks — „Srebrne wesele”;
20.50 Rolnicze rozmowy;
21.20 „XYZ” (1);
21.50 „Kształtowanie piękna świata” — repor-taż filmowy;
22.15 „XYZ” (2);
22.45 Dziennik;
16.30 Program dnia;
16.35 Język niemiecki (28);
17.00 Język francuski (28);
17.30 Język rosyjski (28);
18.00 Studio bis;
18.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 Studio-8;
21.50 24 godziny;
22.00 „Biała gorączka” — film społeczno-byczejowy TP.

WTOREK

PROGRAM I

- 6.00 TTR, RTSS;
6.30 TTR, RTSS;
9.00 Język polski, kl. 5;
9.55 Program dla najmłodszych — „Czerw-ne, żółte, zielone”;
10.50 Program dla szkół średnich „Rodzina współczesna”;
12.30 TTR, RTSS — język polski;
14.00 TTR, RTSS — matematyka;
14.10 Telewizja w sprawie miliardów;
15.25 Program dnia;
15.30 „Telewizyjny klub seniora”;
16.00 Dziennik;
16.15 Obiekty;
16.30 „Dzień dobry, w kręgu rodziny”;
17.00 „Siursi” — przedstawienie;
17.30 „Klinika zdrowego człowieka” — se-ry — budowa, fizjologia, profilaktyka;
17.50 Polska Kronika Filmowa;
18.00 Telewizja młodych przedstawia;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Camerata” — magazyn muzyczny;
19.30 Dziennik;
20.00 „Sól ziemi” (6) — serial społeczno-ma-ny;
20.15 „Słowo się rzekło” — program redak-cji rolnej;
21.00 „Lekarz radzi” — choroby nowotworo-we;
22.05 „Zaczynamy od Mory Luy”;
22.45 Dziennik;
23.00 Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

DWOJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

- 10.00 „Sól ziemi” (5) — serial społ.-obycz.;
11.10 „Klinika zdrowego człowieka” — zaby-ty;
11.40 „Zrodzone w płomieniach” — film dok.;
16.30 Program dnia;
16.35 Język angielski (28);
17.05 Język niemiecki (28);
17.30 Język francuski (28);
18.00 Kino telewizji najmłodszych;
18.30 Słowa za słowa”;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Zrodzone w płomieniach” — film dok.;
20.35 Wtorek melomana — „Złoty flet” Alai-na Mariona — w programie: Antonio Vivaldi — koncert D-dur na flet i or-kiestrę, Krzysztof Penderecki — „Prze-budzenie Jakuba”;
21.25 24 godziny;
21.35 Wieczór filmowy — „Kino miniatur” — nowości polskiej animacji.

ŚRODA

PROGRAM I

- 6.00 TTR, RTSS — język polski;
6.30 TTR, RTSS — matematyka;

- 8.10 Chemia, kl. 8
8.55 Fizyka, kl. 7
11.00 Historia, kl. 7;
13.30 TTR, RTSS — chemia;
14.00 TTR, RTSS — biologia;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.25 Program dnia;
15.30 NURT — język polski;
16.00 Dziennik;
16.15 Obiekty;
16.30 Dacebłizdzone; eraulene
16.30 Dla dzieci: „Michałki”;
17.00 Losowanie małego lotka i express lot-ka;
17.10 „Dom i my” — poradnik;
17.30 „Dwie strony medalu” — publicystyka sportowa;
18.15 „Qwo vadis Zakopane” — film dok.;
18.50 Dobranoc;
19.00 „W świecie dzikich zwierząt” — film przyrodniczy;
19.30 Dziennik;
20.00 „Antyseptyenty — czyli miłość jest jak niedziela” — widowisko literacko-muzyczne;
20.30 Program publicystyczny;
21.20 Teatr telewizji;
22.00 Dziennik;
22.45 Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

DWOJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

- 10.00 „Świat na małym ekranie” — publicystyka sportowa;
11.30 „Dwie strony medalu” — publicystyka sportowa;
16.30 Program dnia;
16.35 Język angielski dla zaawansowanych (3);
17.05 Język angielski (28);
17.35 Język niemiecki (28);
18.00 Teatr Wspomnień 1971 — Fiodor Dosto-jewski — „Marmeladow”;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Świat na małym ekranie”;
21.30 24 godziny;
21.40 Poradnia „Zaufanie”;
22.10 Publicystyka międzynarodowa.

CZWARTEK

PROGRAM I

- 6.00 TTR, RTSS — chemia;
6.30 TTR, RTSS — biologia;
9.00 Język polski, kl. 1;
9.55 Język polski, kl. 2;
11.00 Język polski, kl. 3;
11.55 Nauka o człowieku, kl. 8;
14.30 Telewizja w sprawie miliardów;
15.25 Program dnia;
15.30 Dla młodych widzów: „Decyzje piętna-stoletów”;
16.00 Dziennik;
16.15 Obiekty;
16.30 Czwartek telewizji dziecięcej i eholo-ców — w programie film z serii „Był sobie człowiek”;
17.30 Informator turystyczny;
17.45 Magazyn lotniczy;
18.15 Telewizja młodych przedstawia;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Sonda” — „Złakno na białe”;
19.30 Dziennik;
20.15 Teatr Senacji — Monte Doyle — „Azyj”;
21.35 „Pegaz”;
22.25 „Postawy” — „Współpraca”;
22.55 Dziennik;
23.10 Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

DWOJKA DLA DRUGIEJ ZMIANY

PREMIERY DNIA

- 10.00 „Sonda” — „Zielone na białe”;
10.30 „Informator turystyczny”;
10.45 Magazyn lotniczy;
11.15 „Człowiek i środowisko”;
16.25 Program dnia;
16.30 Język rosyjski (28);
17.00 Język angielski dla zaawansowanych (3);
17.30 Język angielski (28);
18.00 Program morali;
18.30 „Człowiek i środowisko” — „Czerwone złoto — skarb czy trucizna”;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 NURT — praca — technika;
20.30 NURT — język polski;
21.00 NURT — praca — technika;
21.30 24 godziny;
21.40 Program muzyczny;
22.10 „Bez recepty” — rozmowy o wychowa-niu.

Za zmiany wprowadzone w ostatniej chwili redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

(Przypominamy, że filmy szczególnie przez nas polecane wyróżnione są drukiem pogrubionym).

GORLICE: 24-28 Superpółtor (japoński, sensacyjno-fantastyczny), od 29 Jak żyć (polski, satyryczny); GRYBOWE: od 27 Pierwsza dwunastka (USA, wojenno-przygodowy), 28-30 Piękna i Potwór (czechosłowacki, legenda kostiumowa); KRÓSKIEWICZ: 24-26 Powrót do domu (USA, psychologiczno-społeczny), 27-29 Skradzioną kolejką (polski, kryminalny); KRYNICA: 24-27 Gangsterzy zsoz (kanadyjski, sensacyjny), 28-30 Porwać cesarza (czechosłowacki, kostiumowy); LIMANOWA: 23-26 Cena strachu (USA),

sensacyjno-przygodowy), 28-29 Miły są-siedzi (polski, komedia satyryczna); od 30 Wiersz lokalna 1901 (polski, dramata-nodowy); MSZANA DOLNA: 24-26 Pro-cie polskowscy (japoński, kryminalny), 28-30 Złota odziana (radziecki, obyczajowy), od 30 Conans (polski, moralitet); MUSZYNA: 24-26 Pionierzy wietlowiec (USA, katastroficzny), 28-30 Knapła na Platynie (radziecki, sensacyjno-krymi-nalny); NOWY SĄCZ — Kolejarka: 24-26 Korek (włoski, alegoria społeczna); NO-

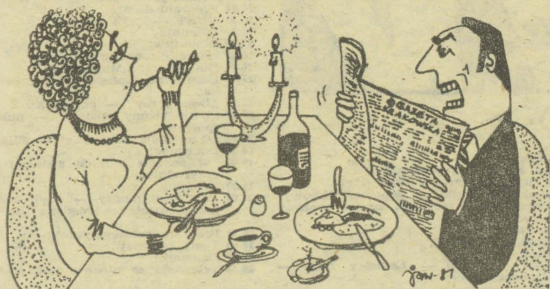
WY SĄCZ — Krokus: 24-26 Rocky II (USA, sportowy), od 28 Ofiara (węgier-ski, kryminalno-psychologiczny); NOWY SĄCZ — Podhale: 23-27 Zamach stanu (polski, rekonstrukcja dokumentalna), 28-30 Metczyzna z białym godzikiem (szwedzki, psychologiczny); NOWY TARG: 24-27 Constans (polski, moralite-t), 28-30 Wierna żona (francuski, kos-tiumowy o miłości); RABKA: 23-24 Portret Shunkin (japoński, o miłości), 25-26 Panowie, dbajcie o żony (francu-

ski, komedia), 28-29 Detektyw (radziec-ki, kryminalno-przygodowy); STARY SĄCZ: 25-26 King-kong (USA-włoski, sensacyjno-fantastyczny), 27-28 Portret Shunkin (japoński, o miłości), 29-30 Żew roku (czechosłowacki, prehistoryczny); SZCZAWICA-PIENIN: 24-26 Kontrakt polski, komediodramat społeczny, 28-30 DORA nadaje (rumuński, szpiegowski); ZAKOPANE: 24-27 Jak żyć (polski, mło-dzieżowy), 28-30 Kłopoty z Ateną (brytyjski, wojenno-przygodowy).

Ponadto: PORONIN: 24-26 Trzy dni Kondora (USA, szpiegowski); SZCZAW-NICA — Górnik: 28 Uśmiech (USA, oby-czajowy).

DUNAIEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz redakcji), Krzysztof Dybel (z-ca sekretarza redakcji), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Antoni Kroh, Jerzy Leśniak, Adam Ogórzalek (redaktor naczelnego), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny), Stanisław Śmierciak (fotoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St. Żółkiewskiego 11. Telefon: 235-36, 238-90. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-29, 275-88 wewn. 238. Wydawca: Ro-botnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW

W Krakowie, ul. Wielopole 1.
Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 270-89 oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na te-renie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Informacji o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 208 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Centrala Kol-portażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-205 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Nr indeksu 3557-F-8.



— Tyle lat piętałem się po szczeblach kariery i wszystko po to, by teraz ta cholerna „Gazeta Krakowska” pisała o mnie „wykazywał stanowisko...”

RYS. OTTON JAWORSKI

Podstuchane...

...W RESTAURACJI

„Tu się jada muzykalnie” — ogłasza jedna z restauracji, w której właśnie niezadowolony klient odsuwa wzgardliwie talerz pytając:

— A cóż to jest?
— To — mówi zasłuchany kelner — to jest aria z „Wesołej wdówki”, szanowny panie.

...NA KONGRESIE

Dwóch zagranicznych adwokatów spotkało się na kongresie w Paryżu. Wywiązała się dyskusja na temat kodeksu karnego: — Jaką najwyższą karę prze-

widuje wasz kodeks na bigamię? — pyta jeden z adwokatów.
— Dwie łańcuchy — odpowiada drugi.

...W TRAMWAJU

Rozmowa znajomych:
— Kiedy jechałem dziać tramwajem, motorniczy patrzył na mnie tak dziwnie, jakby podejrzewał, że nie zapłaciłem za bilet.

— I co uczyniłeś?
— Nic! Spoglądałem na niego również dziwnie tak, jakbym zapłacił.

Jerzy Leszczyński

Fraszki

UZASADNIONE ŻĄDANIE

— Odnazcie mnie! — najgłośniej krzyczy, kto sam się nie odnacza nieczyn.

CHWAST

Chwast też nie rośnie, gdzie go nie posieją, jeśli pomyślnie dlań taitry nie wieją.

ŁAPIAC ZŁODZIEJA...

Łapiac złodzieja, baczyć należy, by nie uniknęł wiary kradzieży.

WIOSENNE SMUTKI

W końcu nadejdzie taka wiosna, że trawka na nas będzie rosła.

ŚWIADECTWO MORAŁNOŚCI

— Bóg mi świadkiem — człowiek mówi — przeżywałem w takim przypadku, kiedy się boi, aby przypadkiem nie poślano tynnych kseradków.



Uśmiechnij się

— Dlaczego do tej pory nie zaprosiłaś do nas swojego chłopca? — zwraca się ojciec do córki — przecież on mnie jeszcze nie zna.

— Ależ tak, tatusiu. Mówi, że się już widział kilka razy, a mi nie to mnie kocha...

— Wyobraź sobie, że gdy tylko się widzę, zaraz przypominam mi się Kowalski.

— Ciekawe. A dlaczego?

— Bo on też jest mi widnie 100 nioch.

— Muszę się śmieć — zwierza się mężczyzna w średnim wieku dawnemu niewidzianemu koleś.

— No, najwyższy czas, żebyś to zrobił!
— Łatwo ci mówić. Ale jak ja to wytłumaczę mojej żonie?

— Nie mogłam z tym ciśnięciem już dłużej wytrzymać, po prostu nie mogłam.

— Czym się pani tak bardzo narażasz?

— Po pierwsze nie nie umiał, po drugie był zdolny do występku.

— Gdy przyjdziecie do nas jutro na przyjęcie, zapukaj koleś.

— A dlaczego nie rękami?
— Proszę byćdzisz ułonił prosił...

Eugeniusz Korkosz

Myśli

Trudno spojrzeć ludziom prosto w oczy, jeśli się na nich ciągle patrzy z góry.

Powiedz mi, komu dojrzymiesz kręku, a powiem ci, jak do tego doszedłeś.

Życzymy sobie, aby nasza praca pozostawała innym jak najmniej do życzenia.

Jeśli chcesz dojść do głosu, nie czekaj, aż ci inni przyniosą mównicę.

Im mniej zgramy wspólnie, tym bardziej takłownego wymaga dyrygenta.

Najgorzej, gdy miarka do nabierania wiary w nasze własne sły jest kieliszek.

Nie z każdej sylwestry wyjdzie prowadzący tryumfalną bramę.

LEKARZ RADZI

Gwałtowne i całkowite odstawienie alkoholu stanowi poważny szok dla ludzkiego organizmu. Jak ogólnie wiadomo, alkohol wpływa rozszerzając na naczynia krwionośne, przyczyniając się do lepszego krążenia krwi w żyłach i arteriach, a co za tym idzie — do skuteczniejszego funkcjonowania poszczególnych organów. Braku składnika alkoholowego w pożywieniu organizm nie jest w stanie sam nadrobić i prowadzi on nieuchronnie do kurczenia się naczyń, osłabienia krążenia, aż do całkowitego ustania go, początkowo w kończynach, następnie zaś w pozostałych częściach ciała. Zejście śmiertelne jest w tych okolicznościach objawem niernadkim.

Co należy przede wszystkim zrobić, aby złagodzić skutki braku oddziaływania tego życiowego preparatu na człowieka? Żaden sposób, który prowadzi do celu, nie będzie tu do pogardzenia.

Za szczególnie ważne uznano należy działanie zmierzające do niwelowania spustoszenia psychofizycznego, jakie powoduje abstynencja w czasie pracy. Ponieważ właściwe krążenie krwi, zarówno podczas wykonywania wysiłku fizycznego, jak i umysłowego, posiada najbardziej istotne znaczenie, właściwe będzie zastąpienie czynnika alkoholowego przez wzmocniony ruch, który także, aczkolwiek nie tak wydajnie, usprawnia ukrwienie ciała. Dobrze jest zatem co dziesięć minut lub częściej odłożyć pracę i biegać intensywnie kilkanaście minut po terenie fabrycznym lub biurowym. Bieg działa tu będzie jako czynnik ogólnoudopniający oraz mobilizujący, tworzący pozytywną atmosferę powszechnego ruchu i aktywności danego zakładu

pracy. Bieg zapobiega zwięzaniu się światła naczyń u pracowników, pozostając również nie bez wpływu na układ krwionośny petentów, zmuszonych do włączenia się i podporządkowania panującemu tempu.

Trzeba z całą mocą zaznaczyć, że brak tzw. koca u osób zatrudnionych w zakładzie pracy wywoła niewątpliwie odczuwalne luki czynnościowe, polegające na braku konieczności poszukiwania kefiru, soku z ogórków, aspiryny i piwa, a następnie spożywania wyżej wymienionych środków w celach leczniczych. Czym zastąpić te tak czasochłonne czynności? Jak zapelnąć powstałe w ten sposób puste godziny? I tu bieg może okazać się niezwykle pomocny. Biegając i gimnastykując się, łatwiej wypełnić sobie czas pracy.

Tyle porad dla pracujących. Co mają robić jednak osoby, które uporczywie uchylały się dotąd od wszelkiej działalności, cały swój czas poświęcając spożywaniu alkoholu? Tym ruch niewiele pomoże. Wskazane jest raczej tworzenie grup psychoterapeutyczno-resocjalizacyjnych, zbiorowa psychoanaliza połączona z grammi zrecenzionowymi, gdy zaś te zawiedzie, korzystanie ze środków zastępczych jak woda brzożowa, spirytus mrówkowy oraz poltura, z tym, że ta ostatnia choć rozszerza naczynia, zwięzła przez swą kleistość przewód pokarmowy i dlatego wskazana jest jedynie w homeopatycznych dawkach.

DOKTOR ZYGMUNT
„Spilki”



PŁÓD ROLNY

RYS. FRANCISZEK PAŁKA